

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny

*Gdy strach a nie zegar
czas odmierza*

Wiesław Myśliwski



**Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie**

WEJHEROWO 2020

Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

XV Wejherowski Konkurs Literacki

POWIEW WENY

pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2020

W y d a w c a:

**Miejska Biblioteka Publiczna w Wejherowie
im. Aleksandra Majkowskiego**

Opracowanie i skład komputerowy:
Henryk Połchowski

Korekta: Krzysztof Powąłka

Projekt okładki: Henryk Połchowski

Druk: MY HORYZONT

ISBN 978-83-940674-4-1

Wejherowo 2021

Drodzy Czytelnicy!

Cieszę się, że XV edycja Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny” wzbudziła duże zainteresowanie wśród osób o wyjątkowych uzdolnieniach literackich. Efektem tego jest 55 prac zgłoszonych na tegoroczny konkurs. Szczególnie cieszy fakt, że aż 26 prac zostało nadesłanych przez młodzież, a więc twórców do 19. roku życia. Dowodzi to, że piszącym spodobało się motto konkursu zaczerpnięte z twórczości Wiesława Myśliwskiego, które brzmiało: „*Gdy strach, a nie zegar czas odmierza*”.

Jak powiedziała pani Ewelina Magdziarczyk-Plebanek - dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie, motto miało swoje nawiązanie do sytuacji pandemii koronawirusa Covid-19, który paraliżuje przecież życie społeczne i gospodarcze, w tym także kulturalne i sportowe w Polsce i na całym świecie.

Strach i jego odmiany towarzyszyły ludzkości od zarania dziejów i nadal nam towarzyszy współcześnie w różnych sytuacjach. W przypadku pandemii objawia się obawą przed zachorowaniem i przed śmiercią, zarówno własną, jak i naszych bliskich. Ale strach może pojawiać się też w różnych postaciach i sytuacjach codziennych, jako lęk przed wybuchem wojny, przed napaścią, przed ważnym egzaminem, a nawet obawą przed utratą pracy itp. Sytuacji o podłożu lękowych może być dużo więcej.

Dlatego cieszy mnie, że piszący prace na tegoroczny konkurs „Powiew Weny” podjęli różne wątki dotyczące strachu. Oswajanie się z nim pozwala na lepsze zachowanie się w trudnych sytuacjach, dodaje nam pewności siebie, a nawet odwagi w działaniu i podejmowaniu decyzji.

Dziękuję wszystkim osobom, które postanowiły spróbować swoich sił w wejherowskim kolejnym konkursie literackim i laureatom konkursu gratuluję przyznanych nagród. Każdy sukces jest ważnym momentem w życiu osobistym. To także ważny krok w kierunku rozwoju kultury języka polskiego i twórczości literackiej naszego miasta, powiatu i regionu.

Dziękuję również jury, które podjęło się obiektywnej i profesjonalnej oceny zgłoszonych prac konkursowych. Słowa podziękowań za tę pracę kieruję w stronę: Pani Eweliny Magdziarczyk-Plebanek - dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie i przewodniczącej jury; Pana Daniela Odija - pisarza, publicysty i animatora kultury; Pana Piotra Schmandta - pisarza i pracownika Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie, a także Pana Michała Jelińskiego - kierownika Wydziału Kultury, Spraw Społecznych, Promocji i Turystyki w wejherowskim Urzędzie Miejskim.

Mam nadzieję, że przyznane nagrody i sam udział w konkursie będą dla Państwa zaczynem do dalszego rozwoju uzdolnień literackich, a w przyszłości kariery pisarskiej lub poetyckiej. Ze swej strony zapewniam, że władze miasta będą podtrzymywać patronat nad tym konkursem, który stanowi dobrą promocję i wizytówkę grodu Wejhera.

Zapraszam Państwa do udziału w kolejnej XVI edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiew Weny" w 2021 roku. Jestem przekonany, że organizatorzy przygotowują jak zawsze atrakcyjne i inspirujące motto do podjęcia twórczości literackiej.

**Prezydent Miasta Wejherowa
Krzysztof Hildebrandt**

WYNIKI
XV Edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego
„Powiew Weny” z 18 grudnia 2020 roku

W kategorii - Dorosli

PROZA

- I nagroda: za opowiadanie pt. *Biegnij, biegnij...* – Krzysztof Szkurłatowski z Wejherowa;
II nagroda: za opowiadanie pt. *O Adelaide, która wygrała z czasem, ale przegrała ze strachem*
– Daria Kaszubowska z Rąbu;
III nagroda: za opowiadanie pt. *Karma* – Tomasz Magulski z Pętkowic.

POEZJA

- I nagroda: za wiersze *De/ka/meron, Liść i Strachy* – Małgorzata Borzeszkowska z Lęborka,
II nagroda: za wiersze *Na ulicy śmiertelników, Historia strachu, Historia pewnej ludzkiej duszy* – Hanna Makurat-Suzik z Gdańska;
III nagroda: za wiersze *Strach, Gdyby nie było jutra, Pandora*
– Aleksander Lewandowski z Wejherowa

W kategorii - Młodzież

- I nagroda: za wiersze *Upadek Lucyfera, Moja jesień, Krwawy Baron*
– Oliwa Plichta z Gościcina;
II nagroda: za opowiadanie pt. *Mój Paryż* – Paulina Greń z Żarnowca;
III nagroda: za opowiadanie pt. *Balladyna* – Oliwia Lejman z Wejherowa;
Wyróżnienie: za opowiadanie pt. *Strach. Opowieść Orfeusza*
– Julia Bieniek z Rumi
Wyróżnienie: za opowiadanie pt. *Wybór* – Zuzanna Dębic z Wejherowa.

Prace oceniała komisja w składzie: Ewelina Magdziarczyk-Plebanek
– (przewodnicząca), Michał Jeliński, Piotr Schmandt, Daniel Odija
i Krzysztof Powąłka (sekretarz).

Okiem jurora

Mottem 15 edycji konkursu literackiego “Powiew Weny” był cytat z twórczości Wiesława Myśliwskiego: „Gdy strach, a nie zegar czas odmierza”. Jak co roku konkurs ogłosiła Miejska Biblioteka Publiczna im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie. Odbywa się on pod patronatem Prezydenta Miasta. Ma charakter otwarty i skierowany jest zarówno do debiutantów, jak i autorów z dorobkiem literackim, mieszkających na terenie województwa pomorskiego.

W tegorocznym konkursie wzięły udział 54 osoby. Nadesłane prace podzielono na dwie grupy wiekowe. Pierwsza skierowana do młodzieży w wieku od 16 do 19 lat, druga do dorosłych powyżej 20 lat. Uczestnicy konkursu mogli wybrać między prozą a poezją. W kategorii literatury młodzieżowej, gromadzącej zarówno poezję, jak i prozę wzięło udział 26 osób. W kategorii literatury dorosłej jury zapoznało się z 14 zestawami poetyckimi i 14 opowiadaniem.

Hasło autorstwa Wiesława Myśliwskiego zainspirowało uczestników konkursu do napisania tekstów czerpiących z barwnej palety różnych gatunków literackich. Jury przeczytało opowiadania nawiązujące do literatury fantastycznej, horroru czy kryminału. Próby interpretacji pojęcia strachu, czasu i... zegara, skłoniły jednak pisarzy i poetów do sięgania przede wszystkim po tematy historyczne i społeczno-obyczajowe. Co ciekawe, strach dla dorosłych kojarzył się głównie z tragedią wojny, prześladowań, krzywdy jaką potrafi jeden człowiek wyrządzić drugiemu, z kolei młodzież zaproponowała teksty skupione przede wszystkim wokół strachu związanego z pandemią.

Tegoroczne motto okazało się bardzo inspirujące, ale jury nie spodziewało się, że rozstrzygnięcie konkursu będzie tak wyjątkowe w piętnastoletniej historii “Powiewu weny”. Otóż w grupie młodzieżowej zwyciężyła poezja! Już wcześniej zaznaczałem, że być może pisanie wierszy w młodym wieku jest sztuką bardziej wymagającą i trudniejszą do literackiego zrealizowania niż proza. Wymaga nie tylko “daru”, tej lirycznej intuicji, ale też doświadczenia życiowego i znacznej

wiedzy, dotyczącej rytmu, rymu, wersyfikacji... Dotąd rzadko zdarzały się zestawy wierszy spełniające wymagania dobrej poezji. Dlatego w kategorii młodzieżowej, gdzie nie ma podziału na prozę i poezję zazwyczaj przyznawało nagrody autorom opowiadań. Nie tym razem!

Tym razem pierwszą nagrodę za zestaw wierszy zdobyła Oliwia Plichta. Autorka zaproponowała w pełni dojrzałą lirykę, co prawda nawiązującą do poezji młodopolskiej, ale jednocześnie wystrzegającą się anachronizmów. To współczesna propozycja skłaniająca do refleksji nad przemijaniem i rolą czasu w naszym życiu: “Stoję na granicy // Między tym, co było, a tym, co stanie się wiecznością”. Obfituje w metafory i porównania, które zadając filozoficzne pytania, próbują przyjrzeć się psychologicznym mechanizmom naszych postępowań: “Cisza rodzi się z Gniewu i Miłości//Kuli się między nimi w kołysce plecionej Nadzieją // Gniew jest kobietą”.

Drugie miejsce przypadło Paulinie Greń za opowiadanie pt. “Mój Paryż”. To subtelna, wręcz liryczna proza o spotkaniu ze śmiercią. O atrakcyjności tekstu nie stanowi jedynie wybór głównej bohaterki. Jury uzurkła ciekawa konstrukcja nowelki, gdzie fabuła została rozpisana na poszczególne pory dnia. Wielkim atutem tekstu są też sugestywne opisy Paryża, które stają się metaforą stanu duchowego narratorki. Wreszcie spotkanie ze śmiercią wskazuje na tragizm ludzkiego losu. Całość została rozpisana jak partytura, melodyjność tekstu nie zawiera się tylko w budowie zdania, ale również została wpleciona w opowieść, gdzie przewodni motyw muzyczny odzwierciedla taniec śmierci i rytm życia miasta, które umiera, gdy umiera narratorka o nim opowiadająca. Bez opowieści ulice i budynki są martwe.

Całkiem odmienną wizję prozy zaproponowała Oliwia Lejman w opowiadaniu pt. “Balladyna”, za które jury przyznało trzecią nagrodę. Swobodne nawiązanie do dramatu Juliusza Słowackiego jest tylko pretekstem do opowiedzenia współczesnej historii konfliktu między dwiema siostrami. Dosadny, podszyty ironią język doskonale pasuje do podjętego tematu i charakteru postaci. Połot z jakim tekst został napisany, wskazuje na autorkę, która tworzy swój własny świat literacki. Rytm, budowa zdań, ujęcie poszczególnych scen, świadczą o pisarskim talencie, który daje nadzieję na dalszy rozwój.

Oprócz nagród w kategorii młodzieżowej jury konkursu przyznało wyróżnienia jeszcze dwóm tekstom prozatorskim. Są to: opowiadanie Julii Bieniek

pt. “Strach. Opowieść Orfeusza” oraz opowiadanie “Wybór” Zuzanny Dębiec. Oba teksty w pełni zasłużyły na zamieszczenie ich w pokonkursowej antologii. Pierwszy za sugestywną opowieść o małżeńskim przywiązaniu i tragedii, która skazuje na cierpienie nawet najpiękniejszą miłość – to smutna, psychologiczna historia. Drugi tekst za wnikliwą obserwację obyczajowo-społeczną, dzięki czemu autorka ukazuje nam trudy pracy lekarzy oraz cierpienie pacjentów w dobie pandemii koronawirusa.

Jak każdego roku za twórczość dorosłych (kategoria powyżej 20 lat) jury przyznawało nagrody w dwóch kategoriach: poezja i proza.

Pierwszą nagrodę za zbiór trzech wierszy otrzymała Małgorzata Borzeszkowska. Każdy z wierszy to wspaniała, liryczna, wariacja rozwijająca konkursowe motto. W “De/ka/meronie” autorka swobodnie czerpie z kultury śródziemnomorskiej, gdzie wino i strach przelewają się jak opowieści o świecie, rozciągnięte pomiędzy zabawą a tym, czego się boimy. Przyglądanie się niebu przez przetarty liść w wierszu “Liść” to nie tylko ukłon w stronę liryki opiewającej piękno świata, ale jednocześnie wyraz egzystencjalnego przerażenia, jakim jest nasze przemijanie i świadomość nikłości człowieka wobec obserwującego go z góry Boga. Wreszcie mocno zrytmizowane “Strachy” nawiązujące do liryki dziecięcej, pozwalają autorce na dowcipną ironię, daleką od banału, czego przykładem może być poniższy cytat: “Drży strach, gdy biją kuranty, // gdy dzwoni telefon z nowiną, // najchętniej by się w firanki // lub w koc z polaru zawinął.”

Drugą nagrodę w kategorii poezja jury przyznało Hannie Makurat-Suzik. Ten zestaw wierszy to propozycja wypełniona sugestywnymi obrazami śmierci, nawiązująca do spuścizny symbolistów i katastrofistów. Wersyfikacja i oryginalne metafory tworzą odrębny świat liryczny. To w pewnym sensie poezja pandemiczna, gdzie nad wszystkim i wszystkimi kładzie się cień globalnej epidemii (“Zarazek strachu przenosi się wciąż szybciej, // przeobrażając się w epidemię katastrofy, // która kosztuje miliardy pełnych istnień.”). Pytania o rolę Boga, upadek wiary, są w tym przypadku jak najbardziej uprawnione. Hanna Makurat-Suzik proponuje spójną wizję poetycką, która próbuje zdiagnozować źródło naszych lęków

Wiersze Aleksandra Lewandowskiego zdobyły nagrodę trzecią. To poezja operująca symbolami zaczerpniętymi m.in. z tradycji chrześcijańskiej i śródziemnomorskiej. Ascetyczna forma, skondensowanie sensów, nie ograniczają

pojemności znaczeniowej podejmowanych tematów. Poeta proponuje wręcz apokaliptyczną wizję świata. To również poezja ważnych pytań, w których autor nagrodzonych wierszy zastanawia się nad sensem naszego życia i rozpaczliwymi próbami podjęcia dialogu z drugim człowiekiem (“Gdyby jutra nie było // Gdyby dziś było ostatnim // tchnieniem wszechświata // Komu powiedziałbyś „kocham”).

W kategorii prozy dla grupy wiekowej powyżej 20 lat pierwsze miejsce otrzymał Krzysztof Szkurłatowski za opowiadanie, pt. “Biegnij, biegnij...”. To precyzyjny i obszerny fresk historyczny, osadzony w realiach drugiej wojny światowej. Poprzez przyjaźń dwóch dziewcząt Rutki i Karoliny autor ukazuje wspólne życie Żydów i Polaków, mieszkających w przedwojennym Stanisławowie. Wstrząsające i wzruszające sceny oprócz obyczajowości tamtych czasów, ukazują groźę pierwszych dni wojny, ruchy wojsk niemieckich i rosyjskich, tułaczkę ludności cywilnej. Ważna proza. Próbująca powiedzieć, że nawet ciągły strach przed utratą życia, może w człowieku obudzić heroizm, który przeciwstawia się nie tylko fizycznemu, ale przede wszystkim duchowemu zniszczeniu. To opowieść o przyjaźni i godności człowieka. Doskonale napisana. Właściwie materiał na powieść.

Nagrodę drugą zdobyła Daria Kaszubowska za opowiadanie, pt. “O Adelaide, która wygrała z czasem, ale przegrała ze strachem.” I znowu czytamy o drugiej wojnie światowej, ale tym razem katastrofą jaką z sobą niesie, ukazana jest oczami siedemnastolej Niemki Adelaide Braun, mieszkającej w Osteroder - przedwojennej Ostródzie. Czytamy o ostatnich tygodniach wojny, działaniach wojsk Sowieckich na terenach Prus Wschodnich, o strachu ludności niemieckiej, która opuszcza swoje domy i ucieka przed żołnierzami rosyjskimi do Rzeszy. Autorka bardzo umiejętnie zbudowała całą fabułę wokół rekwizytów zaczerpniętych z motta Wiesława Mysliwskiego. Czas, strach i zegar są motywem przewodnim opowieści. Wokół nich konstruuje się los głównej bohaterki. Podobnie jak w przypadku pierwszej nagrody, opowiadanie to wyróżnia doskonały styl, precyzja w opisie, wiarygodność przedstawionych wydarzeń.

Wreszcie trzecią nagrodę jury przyznało Tomaszowi Magulskiemu za opowiadanie “Karma”. Losy głównego bohatera, doktora Eryka, stają się pretekstem do refleksji nad tym, w jakim stopniu spotkanie z drugim człowiekiem, może wpłynąć na wybór naszej drogi życiowej. Tekst zadaje pytania o możliwość wybaczenia, empatię, niebezpieczeństwo zbytniego profesjonalizmu, który może

zagłuszyć umiejętność współodczuwania bólu drugiego człowieka. To też opowieść o sile wspomnienia, które budząc do życia dawno zapomniane może w terażniejszości zmienić nasze decyzje.

Tegoroczna edycja wejherowskiego konkursu literackiego "Powiew weny" stała na wysokim poziomie. Kilka ciekawych opowiadań i zestawów wierszy nie zostało wyróżnionych. No, ale na tym polegają konkursy literackie. Jury musiało zdecydować się na wybór najlepszych tekstów. Pod uwagę wzięto też w jakim stopniu poszczególne opowiadania i wiersze odnosiły się do motta Wiesława Myśliwskiego. Poza niewątpliwą jakością artystyczną, teksty nagrodzone wywiązały się z tego najlepiej.

Daniel Odija

Biegnij, biegnij...

Zwykle po skończeniu lekcji Rutka w radosnych podskokach biegła do domu. Najkrótszą drogą, bo lubiła spędzać czas z rodziną. Najwięcej czasu poświęcała jej *bobe*, która miała go pod dostatkiem. Była schorowana i nie mogła już pomagać w większości domowych prac. Malutka, krucha starowinka o brązowych oczach, które z każdym rokiem widziały coraz gorzej, wciąż miała jasny umysł i dość energii do żartowania. Najstarsi sąsiedzi często mówili dziewczynce, że jest bardzo podobna do babci z jej młodych lat. Cieszyło ją to.

Mame, choć wiecznie zapracowana, nigdy nie żałowała córce rodzicielskich ucisków. Dbała o całą rodzinę i wciąż powtarzała, że to największy skarb. Nikt nie robił lepszego czulentu niż ona, nikt nie umiał tak pięknie śpiewać kołysanek. Choć jej mąż nie był bardzo przywiązany do religii i kilka razy próbował ją namówić do rezygnacji z niektórych zasad, ona trwała przy nich nieugięcie. Nosiła perukę, mimo, że w młodości miała piękne włosy. Może nie chciała jej porzucić, bo posiwała jeszcze będąc panną, ponoć ze strachu przed Kozakami, którzy próbowali wdrzeć się do domu jej rodziców w czasie jednego z pogromów.

Noam, Chaim, Dawid, Efraim, Mosze – każdy ze starszych braci, nieustannie okazywał czułość swojej jedynej siostrzyczce. Byli z jednego ojca i matki, lecz bardzo różnili się budową ciała, wyglądem, a nawet zainteresowaniami. Noam był zamyślony i religijny, wiele czasu spędzał na rozmowach z rabinem. Chaim był porywczy, lubił aktywność fizyczną, nie bał się żadnej pracy. Dawid był ulubieńcem ojca. Choć pozostali synowie bez szemrania pomagali w prowadzeniu rodzinnego interesu, to właśnie Dawid najczęściej czasu spędzał w piekarni. Efraim i Mosze byli jeszcze dziećmi, niewiele starszymi od Rutki. Tak jak ona, chodzili do szkoły powszechnej, ale jej nie lubili. Efraim mimo to przykładał się do nauki, zaś Moszego pociągała jedynie muzyka. Tak długo wiercił ojcu dziurę w brzuchu, aż ten uległ i kupił mu skrzypce. I nie żałował tego wydatku, bo najmłodszy syn

okazał się utalentowany. Bez chodzenia na żadne lekcje, zaczął po troszeczkę wygrywać melodie podsłuchane u ulicznych grajków. Bardzo umiał nimi wieczory w małym domku przy Kołłątaja.

No i był jeszcze *tate* – najmądrzejszy ze wszystkich ludzi jakich Rutka знаła. Był mądrzejszy nawet od dyrektora szkoły. Co tam od dyrektora! Dla niej był mądrzejszy nawet od sędziwego rabina Horowitza, a przecież w Stanisławowie wszyscy uważali go za największy autorytet. Mosze Horowitz był jednoosobową instytucją i człowiekiem poważanym powszechnie. *Tate* znajdował dla córki czas nawet jeśli był zmęczony nocną pracą przy wypiekach. Wszystkie jej pytania traktował poważnie. Starał się odpowiadać na nie, nawet jeśli inni uznali je za naiwne albo śmieszne. I patrzył na nią jakoś tak, jakby oglądał największy cud świata. Kiedy uśmiechała się do niego, wzrok mu się zapalał, oczy zaczynały lśnić, biło od niego ciepło. Choć może nie była tego w pełni świadoma, czuła, że wszystko to oznacza coś bezgranicznie wielkiego.

* * *

Stała w sieni i dusił ją strach. Bała się kolejnych dni i kłamstw. Każdego dnia bała się bardziej i bardziej. Niemal fizycznie poczuła paskudnie lepki dotyk strachu, gdy zaczął ocierać się o jej ciało, oplatać umysł i serce. Mijały dni, a ona wciąż nie umiała się z nim uporać. Jak mogło do tego dojść?! Jak mogła zabrnąć w ten kosi róg, utknąć w matni wstydu i lęku przed spojrzeniem rodzicom w oczy?

Myśli kotłowały się w dziewczęcej głowie, gdy nagle otworzyły się drzwi prowadzące z sieni do pomieszczeń cukierni. Pojawił się w nich uśmiechnięty, jak zwykle, ojciec. Rutka aż podskoczyła ze strachu.

– Córciu kochana, czy ty rano, wychodząc do szkoły, wzięłaś chałkę z koszyka w cukierni? Wydawało mi się, że upiekłem trzydzieści, a z rachunków wychodzi, że sprzedałem o jedną mniej. Słoneczko moje, niech ci na zdrowie pójdzie, ale proszę pamiętaj aby zawsze mi o tym powiedzieć, bo muszę to dopisać do rozliczeń, żeby wszystko się zgadzało.

– Nie, niczego nie brałam z cukierni, może to *Mame*, albo *Bobe* wzięły na śniadanie? A może się po prostu pomyliłeś, *Tate*? Rano byłeś taki zmęczony tym nocnym pieczeniem...

– No może, może, ale niepokoi mnie, że to nie pierwszy raz. No i jeszcze to, że jeśli coś nie zgadza się w rachunkach, to wciąż dotyczy tylko chałek. Nie uważasz, że to dziwne? – wypowiadając te słowa Abram próbował zajrzeć Rutce w oczy. Ona jednak najpierw uciekła wzrokiem w inną stronę, a zaraz potem odwróciła twarz. Widząc to cukiernik posmutniał i wiedział już, że nie ominie go trudna rozmowa z najmłodszym dzieckiem. Ale jeszcze nie teraz...

* * *

Słoneczne popołudnie szarzało i ponurzejąc zmieniało się w wieczór. Ten zaś wpęłzał nad miasto jakby mieli go za chwilę zarznąć. Rutka była w podobnym nastroju. Kolejny dzień z rzędu wlokła się najwolniej jak się dało, byle tylko opóźnić powrót do domu. Dawno już minęła synagogę Templum z jej czterema kopulastymi wieżami i piękny ormiański kościół. Przecięła Rynek wciąż idąc ze spuszczoną głową. Nawet nie spojrzała na cerkiew katedralną i farę. Ulicą Karpińskiego doszła do Placu Trynitarского. Poruszała się jak zmęczony koń z klapkami na oczach, który bez patrzenia pokonuje wciąż tę samą trasę. By przedłużyć drogę poszła wzdłuż Wałów, a potem jeszcze odbiła do ulicy Piotra Skargi. Dłużej zwlekać się już nie dało. Ruszyła przed siebie i powoli mijają kolejne niskie domki na Kołłątaja, z których wiele było drewnianych i mocno zaniedbanych. Znała tu każdy kąt, wszystkich mieszkańców. W tej jednak chwili wolałaby stąd zniknąć, zasnąć w drodze i obudzić się gdzieś na końcu świata.

Kiedy dotarła do początku ulicy i ujrzała pierwszy dom po lewej stronie, zrozumiała, że właśnie skończył się jej czas. Stała przed witryną zasłoniętą na noc drewnianymi okiennicami. Skromny szyld informował, że to cukiernia jej ojca. Dzień w dzień przychodziło do niej wielu klientów, bo ciastka były tu smaczne, ceny niskie, a obsługa zawsze życzliwa. Nic dziwnego, najczęściej za kontuarem stał *tate*. A jego lubili wszyscy, bo nie tylko był uśmiechnięty, ale też znano go z uczciwości. Niektórzy z żydowskich sąsiadów, co złośliwi, szeptali ponoć nawet o nim, że jest tak poczciwy, że aż chyba głupi.

Z duszą na ramieniu Rutka weszła do sieni. Z trudem rozpiniała kolejne guziki w kusym paletku. Palce miała zeszywniałe, nie od chłodu, lecz ze strachu, który coraz bardziej paraliżował jej ciało. Stała w półmroku nasłuchując zwykłego w tym domu gwaru rozmów. Słysząc też było skrzypcowe wprawki Moszego. Wiedziała, że w końcu będzie musiała wejść dalej. A zaraz potem *tate* spyta

z troską i żartobliwie zarazem: – Co tak długo, córciu? Już zaczynaliśmy się martwić, czy aby do kozy cię nie posadzili i zapomnieli o tobie.

I co wtedy? Co ma mu odpowiedzieć? Znów skłamać? Przecież *tate* nie zasłużył na takie traktowanie. Nie on! A ukochana córka od dwóch tygodni unikała jego towarzystwa. Tylko dlatego, że nie umiała spojrzeć mu w oczy. Kłamstwa ciążyły jej na sercu coraz bardziej.

* * *

Biegła najszybciej jak umiała. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, kilkadziesiąt centymetrów nad trotuarem. Zdawało się jej, że płuca płoną żywym ogniem. Rozrywał je ból wzmożonego wysiłku. Jej ciało rozpaczliwie domagało się tlenu. Przed oczyma zaczęły wirować czerwone plamy. Wiedziała, że za kilkanaście sekund upadnie i stanie się to samo, co działo się każdego dnia od dwóch tygodni. Wciąż biegła, choć ucieczka nie miała szans powodzenia. Jej prześladowczyni była wyższa, szybsza, sprawniejsza, silniejsza...

W końcu nogi przestały nieść, a widok ulicy stracił ostrość i zaczął ciemnieć. W jednej chwili horyzont gwałtownie przechylił się w prawo, a ona zapadła się w mrok. Do rzeczywistości przywróciły ją głośne krzyki:

– Rutka wstawaj! Nie udawaj, przecież wiem, że nic ci nie jest! Rutka, no weźżeż! Rutka!

Powoli otwierała oczy i starała się zebrać myśli. Kiedy zobaczyła nad sobą wielkie niebieskie oczy, na które niesfornie zsuwały się z grzywki sprężynki blond loków, odruchowo zasłoniła głowę rękoma. Jakby spodziewała się ciosów. Tym razem nie było bicia. Karola nie zacisnęła pięści, lecz chwyciła Rutkę za szkolny fartuch i pomogła jej usiąść. Kiedy wyciągnęła dłoń w stronę głowy ciężko dyszącej dziewczynki, ta skuliła się z lękiem. Niepotrzebnie, blondynka chciała tylko z ciemnych włosów uplecionych w warkocz wyjąć zeschłe, zbrązowiałe lipowe liście.

– Czemu ty ciągle uciekasz? Przecież wiesz, że i tak cię dogonię. Wystarczy, że będziesz przynosić mi każdego dnia do szkoły słodką chałkę. Wiesz jak ją lubię. Dzisiaj ci daruję, ale jutro, jak nie będzie chałki, to nie minie cię mój kułak na głowie – rozumiesz? A teraz wstawaj wreszcie, bo się spóźnimy i będzie siedzenie w kozie.

Kiedy już ruszyły w stronę szkoły, po kilkudziesięciu metrach milczenia, Rutka zebrała się w sobie i odważyła odezwać.

– Ja nie mogę ciągle kraść dla ciebie tych chałek. *Tate* robi ich mało i wszystkie ma policzone...

Zniecierpliwiona blondynka natychmiast weszła w słowo Rutce, nie dając dokończyć zdania.

– Tyle razy ci tłumaczyłam, że należy mi się coś za to, że zabiliście Pana Jezusa, chociaż niczego złego wam nie zrobił. Ksiądz Jądruzewski nam o tym opowiadał na religii. Jedna chałka – to tak wiele?

– Nasza cukiernia jest bardzo mała, ceny są niskie i *tate* niewiele zarabia. Liczy każdy grosz...

– Że liczy każdy grosz, to ja wiem dobrze! Ksiądz Jądruzewski i o tym mówił! Żydzi tylko groszy patrzą i za nie, to by wszystko zrobili. Jak ten Judasz, co naszego Pana Jezusa sprzedał! Jutro ma być chałka! Za karę, rozumiesz?!

Rutce zakręciły się w oczach łzy, ale nie powiedziała już ani słowa. Nie było zresztą czasu dalsze dyskusje, bo dziewczynki usłyszały stłumiony, dobiegający za grubych szkolnych murów, dźwięk dzwonka. Wymachując nim energicznie, wąsаты woźny Jan każdego dnia dawał znak do rozpoczęcia lekcji.

* * *

– Dzień dobry Panie Antoni, można wstąpić na słówko?

– Dzień dobry, proszę zachodzić. Co Abrama do mnie sprowadza?

– Kłopot mam taki, że moja córka Ruta od dwóch tygodni kradnie z cukierni słodką chałkę. Każdego dnia.

– Ooo, to bardzo nieładnie, ale chyba jej nie głodzicie, co? Zresztą, mnie nic do tego...

– A bo widzicie, Panie Antoni, ona oddaje te chałki waszej Karoli. Zdaje mi się, że wasza córka domaga się codziennie ciastka od Rutki. Moja jednak nie chce się do niczego przyznać. To tylko dzieci, wiadomo, na rozumie im nie zbywa, jednak żal mi dziecka, bo smutna chodzi i rozmawiać z nami przestała. Wstydy się. Trzeba by to jakoś rozsuptać...

– Jesteście pewni, że to o moją Karolę chodzi?! Wierzyć się nie chce, bo dziewczynisku niczego nie brakuje. Śniadanie potrafi zjeść jak dorosły chłop, a do szkoły dostaje na dodatek chleba i jabłko, gruszkę albo brzoskwinie.

Jeszcze kiedy mówił, Antoni przypomniał sobie, że w ostatnich dniach Karolina zostawiała na talerzu niedojedzoną zupę, a nawet i drugie danie. Zwłaszcza jeśli była to kasza. Wcześniej jej się to nie zdarzało i postawione przed córką talerze były zawsze wymiecione do czysta. Niezależnie od ich zawartości. To spostrzeżenie sprawiło, że zdecydował się na poważnie przyjrzeć sprawie. Zrobiłby to i tak, bo przecież znali się z Abramem od dziecka, choć wychowywali się w różnych światach. Wiedział, że cukiernik jest dobrym sąsiadem i porządnym człowiekiem.

– Wywiem się i przyjdę do waszej cukierni jutro. Wtedy porozmawiamy – może tak być?

– Może. No, to do zobaczenia Panie Antoni.

Spotkali się nazajutrz. Antoni na powitanie mocno uściśnął żylastą dłoń Żyda i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Przepraszam was za Karolę. Rozmawiałem z nią i wiem już co zaszło. Nie szukam dla córki usprawiedliwienia, ale musicie wiedzieć, że wszystko przez Jądruzewskiego, który głupot nagadał dzieciakom na religii. I z nim to ja jeszcze sobie osobno porozmawiam, a nie będzie to miła pogawędka, o nie! Przyrzekam wam, że ze strony Karoli już żadna więcej przykróść nie spotka Rutki! Przyniosłem też pieniądze, które się wam należą za te wszystkie chałki wynoszone potajemnie z cukierni.

– Panie Antoni, ale nie o pieniądze chodzi! Mnie się marzy, że nasze dzieci się będą szanować...

– I tak będzie, jeśli tylko damy im czas, by do rozumu doszły i poznawały się wzajemnie bez pośrednictwa różnych Jądruzewskich. Dlatego jutro rano, przed szkołą, przyjdzie do waszej cukierni Karola, żeby osobiście przeprosić. Przyniesie też pieniądze za chałki na miesiąc z góry. Będzie po nie przychodzić codziennie. Są ponoć bardzo smaczne, więc nic dziwnego, że się dziewczyna w nich rozsmakowała. A przy okazji będą mogły obie, z Rutką, razem chodzić do szkoły, jeśli wy i ona nie będziecie mieli nic przeciwko. To jak, będzie zgoda między nami?

– Nigdy nie przestała być, Panie Antoni. Nigdy nie przestała...

Na koniec Antoni kupił jeszcze półtora funta biszkoptu, który nie tylko był cudownie złocisty, ale też pięknie pachniał. Kiedy wychodził, głośny dzwonek

towarzyszący zamykaniu drzwi cukierni nie zdołał zagłuszyć huku ciężkich kamieni, które właśnie spadły z dwóch męskich serc.

* * *

W Stanisławowie pierwszą i chyba najbardziej widoczną oznaką wojny były szyby okienne pozaklejane na skos paskami papieru. Miało to ochronić szkło przed popękaniem i wypadnięciem w czasie bombardowań. W domu Karoliny też oklejono okna. Pojawiły się również biało-czerwone opaski, które ojciec nosił z dumą na ramieniu. Skoro nie chcieli go przyjąć do wojska, to zaraz po utworzeniu Miejskiej Straży Obywatelskiej wstąpił do niej. I każdej nocy wyruszał na służbę, która polegała na ochronie ważnych dla miasta obiektów. Dostał też maskę przeciwgazową, która okazała się dla dzieci Antoniego świetną zabawką. Sięgały po nią kiedy tylko tata zamknął oczy, by odespać trudy nocnych patroli.

Wkrótce do miasta zaczęli napływać uchodźcy. Szosa Lwów– Stanisławów– Śniatyn zapchała się pojazdami i pieszymi – tysiące ludzi uciekało przed Niemcami. Jedni chcieli po prostu znaleźć się jak najdalej od działań wojennych, a inni planowali wyjazd do Rumunii. W poniedziałek, 18 września, całe życie w mieście zmarło na chwilę, gdy ulicami przejechały ostatnie kolumny wycofującej się na południe brygady pancernej pułkownika Stanisława Maczka. Ludzie na chodnikach patrzyli na siebie niemo. A w powietrzu wisiał strach i oskarżenie – zdradziliście nas, porzuciliście na łaskę wrogów.

Dzień później pojawili się Sowieci i od razu zaczęli wprowadzać swoje porządki. Zaczęły się poszukiwania wszystkich, których lojalność wobec ZSRR można było poddać w wątpliwość. Antoni z pewnością mógłby zostać uznany za kogoś takiego. By chronić ojca, dom na Kołłątaja opuszczali przede wszystkim synowie i córka Antoniego. To na nich spoczął ciężar zarobkowania i robienia codziennych sprawunków. Głowie rodziny bardzo ciążyła ta sytuacja, każdego dnia drżał z obawy o bliskich. Częstym gościem była wówczas u nich Rutka. Dostarczała świeże pieczywo. Wojna skłoniła jej ojca do porzucenia fachu cukierniczego i zajęcia się czymś, na co było zapotrzebowanie większe niż na ciastka. To chyba właśnie ten podły wojenny czas i atmosfera strachu sprawiły, że Rutka z Karoliną zbliżyły się do siebie jeszcze bardziej. Od ich chałkowego zatargu minęło ponad dziesięć lat. Wielokrotnie serdecznie śmiały się z niego, a Karolina z niedowierzaniem wspominała, jak mogła być tak głupia.

Enkawudziści szybko i sprawnie zorganizowali swoją siedzibę w budynkach więzienia na Bilińskiego. Przez kolejne dwa lata trafiał tam każdy, kto się im nie spodobał. Dla Antoniego był to bardzo trudny czas, bowiem za służbę w Miejskiej Straży Obywatelskiej groziło mu, w najlepszym razie, więzienie. Wielu jego kolegów zostało zadenuncjowanych i niektórych nie zobaczył już nigdy. Po mieście krążyły straszne opowieści o tym, co się dzieje w więziennych celach. Niestety nie były to plotki. Kiedy w czerwcu 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka i Rosjanie opuścili miasto, w piwnicach, celach i w więziennym dziedzińcu znaleziono zwalę ciała ludzi zabitych strzałem w tył głowy. Wielu z nich przed śmiercią było okrutnie torturowanych.

* * *

Dzień wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej był w Stanisławowie bardzo słoneczny i ciepły. Karolina z braćmi szli właśnie do kościoła na niedzielną mszę, gdy zobaczyli szyk niemieckich samolotów, tak długi, że zdawał się nie mieć końca. Wszyscy przechodnie na ulicy Kołłątaja zatrzymali się jak na komendę i spoglądali na błękitne, bezchmurne niebo, na którym wysoko przesuwały się lśniące w słońcu samoloty. Na ten widok zatrzymał się również trzyosobowy sowiecki patrol wojskowy. Dowódca rzucił jakiś rozkaz, a żołnierze oparłszy się o płot zaczęli dość niezdarnie strzelać w górę z karabinów. I były to jedyne strzały jakie padły w czerwcu 1941 roku w obronie miasta.

W lipcu, kiedy po Sowietach zostały już tylko gorzkie wspomnienia, do Stanisławowa wkroczyły wojska węgierskie. Mieszkańcy miasta odetchnęli z ulgą, bowiem sojusznicy Niemiec okazali się przyzwoitymi ludźmi, a Polakom okazywali sympatię, czasem nawet publicznie i bardzo manifestacyjnie. W domu Antoniego zjawił się wtedy przyjaciel z dawnych czasów, major Bálint Szekeres. Odszukał przyjaciela z czasów wspólnej służby w CK armii w latach Wielkiej Wojny. Decyzje wersalskie sprawiły, że ich drogi się rozeszły, zamieszkali w swoich ojczyznach i przez lata nie mieli okazji do osobistych kontaktów, ale nie zapomnieli o sobie. Przystojny, szpakowaty Węgier stał częstym gościem na ulicy Kołłątaja. Nigdy nie przychodził z pustymi rękoma, zawsze przynosił jakieś smakołyki. I obowiązkowo coś do picia. Wieczornym wspomnieniom mężczyzn, śmiechom, a nawet śpiewom, nie było końca. Rozmawiali w obcym języku, jedynym, który obaj znali dobrze – po niemiecku. Na szczęście wścibscy

sąsiedzi szybko zorientowali się, co to za gość odwiedza Antoniego i niemieckie śpiewy już ich tak bardzo nie niepokoiły.

Ledwie miesiąc potrwał ten węgierski karnawał, gdyż już pod koniec lipca Węgrzy zaczęli się zbierać. Ostatniego wieczoru przed wyjazdem major Szekeres przyjechał na Kołłątaja samochodem wyładowanym ciężkimi paczkami. Były w nich niezwykle praktyczne prezenty pożegnalne – butelki z alkoholem, konserwy najróżniejszych sortów, czekolada, kawa, papierosy, świece. Antoni został ostrzeżony przez przyjaciela, że kiedy znikną Węgrzy, zaczną się dla Polaków ciężkie czasy. Oficer zasugerował mu nawet wyjazd na Węgry i gościnę u siebie. A kiedy Antoni grzecznie odmówił, dowiedział się, że powinien zrobić jak największe zapasy żywności i leków oraz solidnie ukryć radio. Kiedy zaś Węgier już opuszczał dom i stał przy samochodzie tylko z Antonim, przekazał mu jeszcze jedną informację. Stłumionym głosem, na granicy słyszalności, rozglądając się się uprzednio, szepnął:

– Antoni, jeśli masz wśród Żydów jakichś przyjaciół, każ im natychmiast wyjechać. Nich uciekają gdziekolwiek – choćby do Sowietów. Tu czeka ich tylko śmierć.

– Jak to śmierć? – podniósł głos Antoni.

– Ciszej do diaska! Posłuchaj – zginą wszyscy. Rozumiesz mnie – wszyscy! Każdy, kto wpadnie w niemieckie łapy.

Patrząc w oczy węgierskiego przyjaciela, który w tej chwili przysunął twarz bardzo blisko, Antoni zobaczył w nich mieszaninę gniewu, wściekłości i przerażenia. Strach udzielił się i jemu.

– Bálint, ale dzieci, kobiety...

Major na chwilę stracił panowanie nad sobą, gwałtownie przerwał Antoniemu w pół słowa i ryknął na cały głos po węgiersku:

– *Mindenki!* a potem dodał, znów po cichu, znów po niemiecku – Niemcy chcą wymordować wszystkich Żydów. Uwierz mi – wszystkim. I już zaczęli to robić...

* * *

Węgrzy wyjechali, a ich miejsce zajęły wojska niemieckie. Natychmiast zaczęły się dni grozy. Już w piątek rano, 8 sierpnia, wyszły na ulice patrole niemiecko-ukraińskie. Metodycznie, z niemiecką skrupulatnością, z listami adresowymi w rękę, przeczesywano miasto w poszukiwaniu przedstawicieli inteligencji.

Rozwieszonymi jeszcze pod koniec lipca urzędowymi obwieszczeniami wzywano wszystkich członków tej grupy społecznej do stawiennictwa na „rejestrację” do więzienia przy Bilińskiego. I rzeczywiście, niektórzy sami się zgłaszali wierząc, że sprawa nie jest groźna i szybko wrócą do domów. Zgłosiło się także kilkoro nauczycieli Karoliny i Ruty ze szkoły powszechnej. Po kilku dniach, pobici, upokorzeni, rozebrani do bielizny, zostali zapędzeni do ciężarówek, wywiezieni do lasu i tam zastrzeleni. Co kilka dni ciężarówki śmierci kursowały do lasów. Aż do końca grudnia. Wdzieli je chyba wszyscy w mieście. A niemal każdy miał wśród krewnych, znajomych lub sąsiadów, kogoś, kto wyruszył w tę tragiczną ostatnią podróż.

* * *

Dwa dni po wyjeździe majora Szekeresa, z samego rana na ulicy Kołtątaja rozległ się stuk końskich kopyt i turkot drewnianych kół toczących się po sfatygowanym bruku. Wóz pełen desek, narzędzi ciesielskich, gwoździ, śrub, kublów z farbą i pędzli zajechał pod dom.

– Pan szanowny w składzie Grynszpana obstałował materiał razem ze wniesieniem na pięterko? No, to jesteśmy. Gdzie życzy Pan sobie wnosić? – taką mowę usłyszał Antoni, gdy tylko otworzył drzwi.

Szybko wskazał robotnikom drogę, a potem musiał się zająć wyjaśnianiem domownikom co się dzieje. Kiedy usłyszeli, że zaplanował remont poddasza, żona Zofia przyjęła jego decyzję uniesieniem brwi oznaczającym zdziwienie, zaś dzieci ucieszyły się z tego, że będzie się działo coś niezwykłego. Synowie od razu zadeklarowali, że oni sami zrobią remont, byle tylko ojciec poinstruował ich, co trzeba robić. On jednak odmówił twierdząc, że z nikim nie będzie się dzielił przyjemnościami płynącymi z robót ciesielsko-malarskich. Aby nie zrazić ochotników, obiecał im, że będzie korzystał z ich pomocy tak często, jak to będzie możliwe. Wybieg, którym Antoni wyprowadził w pole progeniturę był dla żony absolutnie czytelny, więc czekała go rozmowa z Zofią. Był do niej przygotowany, niemal całą poprzednią noc spędził na rozmyślaniach o tym jak zrealizować to, co sobie zamierzył. Wieczorem, już w pościeli, Zofia powiedziała krótko:

– Mów, a nie waż się skłamać! Wiesz, że przez całe nasze wspólne życie nie zrobiłam ci tego, więc mam prawo liczyć na wzajemność.

– Zosiu, tak jak ufałaś mi przez całe życie, tak musisz mi zaufać i teraz. Uwierz, że to, co będę robił jest konieczne bym mógł uważać się za dobrego człowieka. W ogóle za człowieka. A jeśli nie powiem ci ani słowa o swoich planach, to tylko dlatego by chronić was przed niebezpieczeństwem. Możesz mi w tym pomóc nie zadając pytań i trzymając dzieci z dala od poddasza. Bardzo będę potrzebował twojego wsparcia. Obiecuję, że dowiesz się wszystkiego, kiedy zrobi się bezpiecznie.

Zapadło głucho milczenie. Zofia długo zastanawiała się nim znów się odezwała.

– Dobrze kochany, już dobrze. Tylko uważaj na siebie, bo nie wybaczę sobie gdyby coś ci się stało...

Tej nocy oboje spali niespokojnie, wierzili się, przewracali z boku na bok, wzdychali. Z ulgą przyjęli szarość świtu za oknami sypialni. Po przebudzeniu nie zerwali się jednak od razu, lecz przeleżeli jeszcze kwadrans patrząc sobie w oczy i nie wypowiadając ani słowa.

* * *

– Może lepiej byście byli razem? Przemyślcie to – w getcie nie czeka was nic, a tam wszystko urządziłem tak, żebyście się pomieścili za fałszywą ścianą na poddaszu. Ciasno, ale wytrzymacie.

– Nie Antoni, matka powiedziała, że śmierci się już dawno nie boi i nigdzie ruszać się nie zamierza. Przecież nie zostawię jej tu samej. Mnie zaś nie chcą samego zostawiać starsi synowie. Jeśli zajmiesz się Rebeką, Rutką i młodszymi chłopakami, będę twoim dłużnikiem do końca swoich dni.

Tak wyglądała rozmowa Antoniego z Abramem w grudniu 1941 roku, kiedy przyniósł mu niewielki pakunek zawierający chleb, marmoladę, domowy makaron, oskubaną kaczkę i... listy od żony i dzieci. Wtedy widział go ostatni raz. Kilka dni później Niemcy zamknęli stanisławowskie getto i mimo podejmowanych prób nie udało się nawiązać kontaktu z Abramem. Przez kilka miesięcy pod getto chodziła też Karolina, licząc, że może zobaczy go chociaż z daleka.

W połowie lutego 1942 roku, przechodząc ulicą przy getcie, trafiła na łapankę. Nie udało się jej wymknąć. Po wyładowaniu z ciężarówki szybko dokonano selekcji. Choć miała tylko siedemnaście lat, znalazła się w grupie przeznaczonej do wywózki na przymusowe roboty. Arbeitsamt powiadomił rodziców, że mają

wybór – roboty albo obóz. Trzy dni później jechała w nieznaną słończona w bydłym wagonie z tłumem ludzi równie jak ona przerażonych. Jej jedynym bagażem była, przeszmuglowana do transportu przez rodziców, kartonowa walizka z kilkoma ciuchami i jedzeniem.

Podróż trwała cztery dni i była przerywana wielogodzinnymi postojami. Raz dziennie wagony otwierano i pozwalano ludziom wyjść dla załatwienia potrzeb fizjologicznych. Kolejowa tułaczka zakończyła się wysiadką na bocznicę kolejowej w Emden. Nazwę stacji ktoś podejrział przez szpary w ścianie wagonu. Na nic to się jednak nie zdało, gdyż nikt nie wiedział, gdzie znajduje się to miasto.

Ledwie wysiedli, strażnicy pogonili ich do baraku, w którym musieli się wykapać pod prysznicami z zimną wodą. Potem, nagich, kobiety i mężczyźni razem, pognano na plac, gdzie posypano ich białym proszkiem dezynfekującym. Każdemu dostał się roboczy drelch, na którym naszyto trójkąt z literą P. Po godzinie na plac przyjechali samochodami, konnymi wozami, a nawet traktorami, niemieccy cywile. To, do któregoś z nich, miała trafić Karolina. Ten targ niewolników trwał dwa kwadransy, a potem plac opustoszał w oczekiwaniu na kolejnych nieszczęśników.

* * *

Skóra na dłoniach, choć już mocno zrogowaciała, wciąż piekła, paliła od wielogodzinnego kontaktu z tysiącami krowich wymion. We fryzyjskim gospodarstwie, do którego trafiła z Emden, Karolina musiała doić wielkie stado krów dwa razy dziennie. Cierpiała przy tym nieustannie. Bolały sińce spowodowane kopnięciami krów i była zmęczona od ciągłego przepracowania. Nocami szlochała z rozpaczą. Tęskniła za tatą, za mamą, za braćmi, za Rutką. Przeplakała trzydzieści osiem długich miesięcy. Nie dostała z domu ani jednego listu, choć sama wysyłała kartki co miesiąc...

Kiedy wojna była już niemal skończona, a szeptali o tym wszyscy dookoła, pojawili się ci Amerykanie. Pędzili dwoma łązikami przez płaskie jak naleśnik pola, byle szybciej, byle do mostu. Ona zaś stała między krowami na podmokłej łące. Zobaczyła ich z daleka. Kiedy tylko zorientowała się gdzie jadą, rzuciła się biegiem by ich zatrzymać. Choć brakowało jej tchu, pędziła co sił. Gnał ją lęk przed tym, że znów będzie musiała oglądać ludzką śmierć. Dość napatrzyła się na nią w swoim młodym życiu. Wszystkimi komórkami ciała czuła każdą wpływającą sekundę. Biegła i wymachiwała rękami jak fryzyjski wiatrak

skrzydłami. Biegła, by wyprzedzić czas i śmierć. Biegła i wrzeszczała jak stado wściekłych esesmanów – *Halt! Achtung! Halt!*

W końcu ją zauważyli i gwałtownie się zatrzymali. Wskoczyli z willisa i wycelowali w nią automaty. Natychmiast stanęła i odruchowo poniosła ręce do góry w geście poddania. Podeszli bliżej, a ona, zasapana, ale z uśmiechem od ucha do ucha, próbowała mieszaniną polskiego i niemieckiego wytłumaczyć co się stało. Nie знаła angielskiego, oni jednak zrozumieli to złowieszcze słowo, choć wypowiedziane po niemiecku – „*Minen*”. Na jego dźwięk twarze im zamarły, stężyły. I już wiedzieli, że szaleńczy bieg tej Polki dał im szansę na dalsze życie. Pobladli i bez słów patrzyli to na siebie, to na Karolinę. Potem coś pękło i wszyscy zaczęli się śmiać, rzucili się do ściskania dziewczyny. Zabrali ją do samochodu i obdarowali workiem pełnym czekolady, Cameli, konserw z napisem „Spam”, znalazła się tam nawet flaszka szampana i puszka najprawdziwszej kawy! Na pożegnanie, na migi, kazali sobie zapisać na kartce imię i nazwisko swojej wybawczyni oraz nazwę wsi, w której mieszka. Potem zaś ruszyli drogą, którą wskazała im Karolina wypowiadając słowa „*keine Minen*”.

Wrócili po kilku dniach. Znaleźli Jemgum i gospodarstwo, w którym Karolina pracowała. Przywieźli ze sobą całą skrzynię pysznych prezentów i amerykańskiego Polaka, potomka białczańskich górali, urodzonego w Chicago. Śmiesznie mówił po polsku, ale rozumiał wszystko.

– Hełoł Karolajna, tyś moich kolegów żeś życie uratowała. Oni mnie opowiedzieli, że nie ma taki prezent, który by za to starczył. I one chcą tobie inaczej dziękować. Ty byłaś niewolnik u Niemców, a my wiemy co się tu wyprawiało. Byliśmy w obozach, wszystko widzieliśmy. I jeśli ty chcesz, jeśli Niemce byli dla ciebie złe, to moje kolegi mogą im teraz za to zapłacić. Rozumiesz, dać pomstę.

Karolina spojrzała na twarze chłopaków w mundurach. Bardzo młode i teraz bardzo poważne. W ich oczach pojawiły się twarde błyski. W rękach ściskali karabiny. Tak mocno, że pobiełały im kłykcie. Wtedy z przerażeniem zrozumiała, jak chcą jej podziękować. Spojrzała ku rodzinie stojącej przed ryglowym domem. To dla nich pracowała przez trzy lata. Przyglądali się scenie i chyba rozumieli, że w tej chwili decyduje się ich los. Przynajmniej dorośli musieli to pojmować. Trójka dzieci była nieświadoma, że ich życie zawisło na jej jednym słowie. Słowie

dziewczyny, która harowała dla nich za darmo, bez słowa skargi. Po obrządzeniu stada krów musiała jeszcze znaleźć siłę, by nagotować obiad dla wszystkich robotników w gospodarstwie. Wieczorami, kiedy niemiecka mamka miała wolne, zajmowała się dziećmi bauera. Trzy lata. A teraz była wolna.

Czuła woń strachu płynącą od Niemców. Szybko gęstniała. Najbliżej stał staruszek Willi, a obok Elsa, jego pomarszczona *Ehefrau*. Dwa kroki dalej synowa, Erika i dzieci, pólsieroty. Ich tata, Kurt, przepadł gdzieś w Rosji. Margarethe, która za kilka lat może się stać prawdziwą pięknoscią, pięcioletni Klaus i malutka Frieda. Wszystkie wołały zostawać z Karoliną, niż z Bertą. Polka pozwalała im na więcej niż niemiecka opiekunka. Wieczory z Karoliną były przyjemne. Znała wiele zabaw i umiała pięknie śpiewać. Nawet ten jej dziwny, szeleszczący język zdawał się dzieciom fascynujący. Margarethe próbowała się nauczyć jednej z piosenek Karoliny, a potem zaśpiewać ją dziadkom. Jednak Willi przerwał jej kiedy tylko usłyszał obce słowa: – Jedzie, jedzie na Kasztance...

Wezwał Karolinę i surowym głosem spytał: – Czego ty ich uczysz! O czym jest ta piosenka?

– O koniu proszę pana. Takim brązowym koniu, może też trochę czerwonym...

Bauer odetchnął z ulgą i nawet się roześmiał, lecz po chwili znów spoważniał.

– Rozumiem, ale na przyszłość pamiętaj – nie wolno ci uczyć wnuków polskich piosenek. Jakby się gestapo dowiedziało, byłoby źle z tobą, a może i ze mną. Zrozumiałaś?!

Z zamyślenia wytrącił Karolinę głos polskiego Amerykanina:

– Karolajna, powiedz ty nam tylko, czy one byli dla ciebie złe, czy cię krzywdzili. Nie musisz nawet patrzeć, my to same załatwimy. Nie musisz się bać. Wojna kończy się, bałagan jest wszędzie, nikt o tych Niemców pytać się nie będzie. Ty tylko nam powiedz...

– Nie! tym krótkim słowem przekreśliła wszystkie lęki jakie ją dotąd prześladowały.

Nigdy nie żałowała jego wypowiedzenia. Nawet wtedy, gdy w Stanisławowie zastała pusty dom, a od sąsiadów dowiedziała się co stało się z tatą, mamą, braćmi, Rutką i jej bliskimi.

W tamtej chwili zdecydowała, że strach nie będzie odmierzać czasu jaki jej jeszcze w życiu pozostał.

Krzysztof Szkulatowski

O Adelaide, która wygrała z czasem, ale przegrała ze strachem

Gdy strach, a nie zegar czas odmierza...

Wiesław Myśliwski

*Pamięci tamtej dziewczyny z Prus Wschodnich,
która wiosną 1945 roku przegrała walkę ze strachem.*

Zegar był z wiśniowego marmuru, z kremową tarczą zdobioną złotą girlandą kwiatów i liści, ze złotą figurką pastereczki stojącą na szczycie, wykonaną przez samego Augusta Moreau. Był pamiątką po świętej pamięci matce, która zakupiła go przed laty we Francji. Siedemnastoletnia Adelaide Braun słabo pamiętała matkę, zmarła, gdy miała zaledwie pięć lat. Ale zegar bardzo lubiła. Złota pastereczka stała się jej przyjaciółką, wierną towarzyszką dziewczęcych marzeń o pięknym życiu, wyśnionym królewiczu, miłości do grobowej deski. Złote wskazówki właśnie pokryły się na szczycie, kurant wygrał pozytywkę, a następnie rozległo się dwanaście dźwięcznych uderzeń, jedno po drugim. Bim-bom. Bim-bom. Bim-bom.

Drzwi do pokoju otwały się i stanął w nich ojciec. Dziwnie błydy, jakby przestraszony. W srebrzystym świetle styczniowego południa wyglądał jak duch. W rękę ścisnął dzisiejsze wydanie „Osteroder Zeitung”.

– Sowietci napadli na Ostpreußen! – powiedział.

Adelaide podniosła wzrok znad wełnianej skarpety, którą cierpliwie dziergała dla biednych żołnierzy niemieckich na froncie. Nie lubiła prac ręcznych, ale traktowała to jako własny wkład dla zwycięstwa Rzeszy. Cóż zresztą znaczyło jej drobne poświęcenie i niedogodności z cierpieniem dzielnych żołnierzy? Każdy numer „Osteroder Zeitung” wypełniały nekrologi, tym dłuższe, im dłużej trwała wojna. Każda niemal rodzina w Osterode opłakiwała zmarłego syna, ojca, brata, kuzyna, przyjaciela.

– No i co z tego, Papo? – spytała. Nie rozumiała przerażenia ojca. Czy od trzech miesięcy nie mówiło się o tym, że Armia Czerwona po październikowej porażce, spróbuje zaatakować Prusy ponownie zimą? Czy gauleiter Erich Koch nie zapewniał, że nie odda Rosjanom ani centymetra niemieckiej ziemi?

– Naciągają z dwóch stron – ciągnął ojciec. – Ze wschodu i z południa.

– A więc połamią sobie na nas zęby – powiedziała mściwie i pomachała wełnianą skarpetą, jakby wygrażając sowieckim bandytom. Gdzie im do Niemiec? Fora ze dwora!

Ojciec chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował. Bez słowa zamknął za sobą drzwi. Adelaide została sama, w głuchej ciszy, ze śniegiem wirującym za oknem i oblepiającym szybę z zewnątrz w tak misternych koronkowych wzorach, jakich dziewczyna nigdy nie byłaby w stanie wydziergać. Spojrzała na zegar ze złotą pastereczką. Wskazówki wciąż jeszcze tkwiły w równym położeniu jedna na drugiej. Przez chwilę zdawało się, że czas się zatrzymał. I nigdy nie ruszy, bo zabrakło jednej wskazówki. Adelaide przestraszyła się, popukała palcem w tarczę. A potem roześmiała się z własnej głupoty. Wtedy jeszcze nie mogła wiedzieć, że czas dla Ostpreußen, dla malowniczych, sielskich, spokojnych Prus Wschodnich naprawdę się skończył.

Zrozumiała to kilka dni później. Przygotowywała właśnie obiad: zupę z ziemniaków i kaszy, ledwo okraszoną masłem, bo brak żywności doskwierał wszystkim, gdy do mieszkania jak burza wpadł ojciec. Szpakowate włosy miał rozwiane, płaszcz rozpięty, wzrok niemal szalony.

– Co się...? – zaczęła pytanie, ale nie zdążyła dokończyć, bo ojciec wszedł jej w słowo:

– Pakuj się! Wyjeżdżamy! Prędko!

Wypuściła z rąk drewnianą łyżkę, którą mieszała zupę. Upadła na deski z głuchym „stuk”.

– Ale... ale jak to...? Gdzie...? Po co...? – wyjąkała.

– Gdziekolwiek. Może do mojej kuzynki do Berlina. Byle jak najdalej stąd!

– Ale tu jest nasz dom! – zawołała przerażona. – Twoja praca! Moja szkoła! Grób mamy!

Ojciec nie słuchał. Był już w swojej sypialni, dobiegały stamtąd dźwięki otwieranej i zamykanej szafy i trzaskanie szuflad. Adelaide strząsnęła z siebie

pierwszy strach jak pies otrząsa się z wody, po czym podniosła łyżkę i wróciła do mieszania zupy. Ojciec zachowywał się ostatnio nieracjonalnie. Przecież nie wyjadą tak z dnia na dzień.

Po kilku minutach mężczyzna pojawił się w kuchni. W rękę trzymał skórzaną walizkę, z której wystawały przytrzaśnięte rękawy koszuli.

– Co ty tu jeszcze robisz, na miłość boską?! Przecież kazałem ci się pakować!
– wykrzyknął.

– Teraz? A obiad?

– Adelaide! – Chwycił ją za ramię. – Ty nic nie rozumiesz?! Wszyscy uciekają!

Adelaide pokiwała głową. Wiedziała, że wszyscy uciekają. Jeszcze we wrześniu hasła o masowej ewakuacji ludności z Ostpreußen traktowane były jak tchórzostwo, jak defetyzm. A teraz? Od dnia, gdy przyszła ta straszna wiadomość o ponownym ataku Armii Czerwonej, coraz więcej ludzi opuszczało Osterode. Najpierw pojedynczo: jakaś rodzina z sąsiedniej ulicy, znajomi z drugiego końca miasta. Potem coraz liczniej. Ulice wypełniały się wozami załadowanymi dobytkiem oraz ludźmi z tobołami, spieszącymi na pociąg. Znikali jeden po drugim na zawsze za zakrętem ulicy, w drzwiach wagonów, w białej ścianie śniegu. Gimnazjum, w którym uczyła się Adelaida, pustoszało z dnia na dzień. Podobnie jak Gimnazjum Cesarza Wilhelma, w którym ojciec uczył fizyki. Ostatni urzędnicy, ostatni nauczyciele, ostatni strażacy trwali w mieście, z jednej strony przepelnieni poczuciem misji, z drugiej: jak na szpilkach wyczekujący nakazu ewakuacji.

– Jeszcze przecież wojna nie jest przesądzona. Jeszcze może trafić się drugi von Hindenburg i wszystko się odmieni. – Adelaide bezwiednie powtarzała hasła propagandowe. Wciąż w nie wierzyła, mimo tego, co widziała dookoła.

– Sowieci nie będą czekać na żadnego Hindenburga. Oni są jak zaraza. Idą przed siebie i sieją zniszczenie. Pałają wsie. Kradną. Mordują dzieci. A kobiety... i dziewczyny takie jak ty... hańbią.

Adelaide zaczerwieniła się jak wiśnia. Sprawy damsko-męskie były w ich domu tematem tabu. Ojciec jękał się nawet, gdy mówił o miłości, a co dopiero o intymności. O pocałunkach i pieszczotach szeptały sobie z koleżankami, z chichotem komentując walory tego i owego kolegi. Dlatego poczuła się nieswojo, gdy ojciec nagle powiedział o „hańbie”. Nie tak powinna przebiegać pierwsza rozmowa ojca i córki o tych sprawach.

– Ale najpierw zjemy obiad? – zapytała naiwnie.

– Nie! Pakuj się, już! Tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Za pół godziny będzie tutaj Herr Hoffmann, weźmie nas na swój wóz.

Adelaide zostawiła pyrkającą na piecu supę i jak otumaniona wpadła do swojego pokoju. Wyciągnęła z szafy torbę podróżną z rączkami z kości słoniowej. Rozejrzała się po pomieszczeniu. „Tylko najpotrzebniejsze rzeczy” – brzęczały jej w głowie słowa ojca. Ale co jest najpotrzebniejsze? Co ma zabrać ze sobą w tułaczkę w nieznaną, a co zostawić na pastwę losu? Wrzuciła dokumenty szkolne, cenzurki ze wszystkich lat nauki pełne najlepszych ocen. Wrzuciła dwie najlepsze sukienki: z błękitnego aksamitu i z zielonej tafty. Wrzuciła ukochane Grimms Märchen, które dostała od ojca na siódme urodziny, wrzuciła tomik poezji Schillera, zawahała się nad oprawioną w skórę Biblią, ale i ją wreszcie dołożyła. Wrzuciła ozdobny sztambuch, w którym prowadziła swój pamiętnik, zapisywała wszystkie najsłynniejsze myśli i próbki pełnych patosu wierszy. Bez żalu natomiast pozostawiła szkolne podręczniki, wszystkie trzy brzydkie, choć praktyczne sukienki, obraz Sądu Ostatecznego, który otrzymała od babki, a który zawsze wydawał się jej ohydny (nieraz zadawała sobie pytanie, jaka normalna babka podarowałaby wnuczce obraz pełen diabłów i cierpiących ludzi o powykrzywianych z bólu twarzach?), a nawet nieskończoną wełnianą robótkę. Wszystko to zostanie, poczeka na nowych właścicieli. Jej wzrok padł na stojący na komodzie zegar ze złotą pastereczką. Wzięła go do ręki. Nie był duży, bez problemu uniosła go jedną ręką, ale mimo to bardzo ciężki i już po chwili trzymania ścięło jej ramię. Z pewnością nie był tym czymś, co ojciec uznałby za „najpotrzebniejszą rzecz”. A jednak umieściła go w bagażu, ostrożnie moszcząc mu miejsce w sukienkach między książkami a teczką z dokumentami. Już nic więcej nie zmieściłoby się w torbie, która i tak stała się trudna do udźwignięcia.

– Hoffmann już przyjechał! Pospiesz się!

Adelaide wyszła na korytarz. Ojciec uwijał się jak w ukropie, tutaj pakował książki z biblioteczki do kartonu, tam robił dziwny tłumok z garnków i pościeli.

– Gdzie masz pierzynę? – zapytał, widząc córkę tylko z jedną torbą.

Adelaide bez zbędnego dociekania wróciła do pokoju, zwinęła pierzynę w toból i zarzuciła sobie na plecy. Zabawne, że pierzyna miała być ważniejsza

niż cokolwiek innego. W tym momencie w mieszkaniu pojawił się Bruno Hoffmann, przyjaciel ojca ze szkoły, by pomóc im znieść bagaże. Brodaty i barczysty zawsze sprawiał na dziewczynie wrażenie sympatycznego niedźwiedzia.

– Guten Morgen! – przywitała się uprzejmie, ale Hoffmann tylko pokiwał ponuro głową.

– Nic już nie będzie „dobre” – mruknął i dźwignął z podłogi pierwsze pudło.

Ojciec wyglądał, jakby to krótkie zdanie zmęczyło go bardziej niż całe trudne pakowanie. Postarzał się bardzo w ciągu ostatnich kilku dni. Adelaide z tkliwością patrzyła na szpakowate włosy i na zmarszczki w kącikach oczu i wokół ust. Miał pięćdziesiąt lat, ale wciąż był wysokim, postawnym, przystojnym mężczyzną. Wzorem, jak należy kochać kobietę – po śmierci żony nie ożenił się ponownie, nigdy nawet nie zerkał pożądliwie w kierunku innej, choć były nauczycielki, sąsiadki, przyjaciółki domu, które chętnie zostałyby panią Johannową Braunową.

– Chodź, Papo. – Z troską otuliła szyję rodziciela szalikiem.

Zostawili za sobą mieszkanie, wciąż pełne ich osobistych rzeczy, zostawili Osterode, pełne ich wspomnień. Jeśli jest coś gorszego od opuszczania rodzinnego miasta, to jest to opuszczanie rodzinnego miasta z poczuciem klęski i strachem przed jutrem. Przed sobą mieli tylko przestrzeń, rozległą i białą od śniegu. Rozległą, białą kartę, którą przyszłość wypełni według swojego widzimisię.

Zegar po mamie tykał cicho w torbie, ale od teraz czas odmierzał im wyłącznie strach.

Strach ścigał uchodźców w każdej minucie. Był nieubłagany jak tykanie zegara, jak dudniące odgłosy walk dobiegające z południa.

– Przypuszczam, że zajęli już Ostrolenka. Może Mielau – wymamrotał Hoffmann z papierosem w zębach. – Ja w każdym razie nie dam się im złapać. Mam zamiar jeszcze długo pożyć, dobrze zjeść, potańcować i mieć kobitki.

Adelaide zadrzała. Sto, sto pięćdziesiąt kilometrów, które dzieliło ich od Rosjan było zbyt bliską odległością, by czuć się bezpiecznie. I pomyśleć, że jeszcze wczoraj wierzyła w objawienie w stylu Hindenburga! Ależ była naiwna! Dziś, gdy widziała na źle odśnieżonych drogach przewrócone i roztrzaskane wozy, konie z połamanymi nogami, które nie dawały rady na oblodzonej nawierzchni, przerażonych, sinych ze zmęczenia i zimna ludzi, brnących w śniegu z całym dobytkiem na plecach, nie wierzyła już w nic

i w nikogo. Co jakiś czas tylko szukała obok dłoni ojca, chcąc się upewnić, że nie jest w tym piekle samotna.

Johann Braun otulił córkę szczerzej kocem.

– Zatrzymajmy się na nocleg – poprosił, gdy zbliżali się do Tiegenhof.

– Nie! – zaprzeczył Hoffmann gwałtownie. – Ani mowy nie ma! Sowieci są szybsi niż nam się zdaje. Gdy my przejeżdżamy trzydzieści kilometrów dziennie, oni pokonują pięćdziesiąt!

– Jeśli konie nie odpoczną, to je ujedziesz ani dziesięciu kilometrów!

Zatrzymali się w karczmie, zjedli niesmaczną, choć pożywną i gorącą zupę z brukwi. Ale tej nocy Adelaide nie była w stanie spać. Leżała na sienniku między innymi nieszczęsnymi kobietami z ich cudownej, sielskiej krainy Ostpreußen i słuchała opowieści mężczyzn o tym, co okropni Sowieci robią z ich krainą i z ludźmi, którzy nie byli w stanie uciec, głównie ze starszymi, ze schorowanymi, z ubogimi matkami z dziećmi. Gdy tylko zamknęła powieki, natychmiast widziała ich sąsiada, Herr Schwenka, samotnego staruszka, weterana jeszcze wojny prusko-francuskiej 1870 roku, jak stanął w drzwiach swojego mieszkania i z przerażeniem w oczach obserwował ucieczkę rodziny Braunów. Gdy ojciec zaproponował mu ucieczkę z nimi, odparł dumnym, choć drżącym głosem: „Nie! Wolę zginąć, walcząc za Święte Cesarstwo!” Widziała go teraz pod powiekami, jak z tym samym przerażeniem obserwuje klatkę schodową, na której pojawiają się zarośnięci, obdarci krasnoarmiści.

Tacy Niemcy stworzyli wielką Rzeszę i tacy za Rzeszę ginęli. To wówczas Adelaide postanowiła, że także prędzej umrze niż wywiesi białą flagę.

Gdy przekraczali zamarzną Wisłę, pod dziesiątkami ciężkich, przeladowanych ponad możliwość wozów pękł lód. Konie, wozy, tobołki, przedmioty, ludzie wpadali do lodowatej kipieli. Właśnie tutaj i właśnie teraz na Żuławach rozpoczął się sąd ostateczny nad narodem niemieckim. Nie nad generałami, nie nad komendantami obozów, lecz nad cywilami. Panował krzyk, płacz dzieci, rozpaczliwe rżenie koni, bezwzględny plusk wody. Adelaide udało się oszukać przeznaczenie, uskoczyć dalej, tam gdzie lód był jeszcze stabilny. Lodowata fala dotknęła jej stóp, nalała się do botków, zmoczyła stopy w czarnych wełnianych pończochach. Dziewczyna stała i patrzyła, jak ludzie toną niczym szmaciane kukły. Patrzyła w ich martwe jeszcze za życia oczy, słyszała ich krzyki: „Hilfe!”

– i nie mogła zrobić nic poza utratą zmysłów z szaleństwa. Hoffmann oberwał w głowę kawałkiem ułamanego dyszla i poszedł na dno ze zdziwieniem malującym się na brodatej twarzy, jakby do końca nie pojmował, że oto już nie pożyje, nie naje się do syta i nie potańcuje z kobitkami. Koń walił kopytami o lód, próbował się ratować, ale wóz ciągnął go pod wodę. Ojciec także szedł w dół wraz z bagażami. Adelaide krzyczała: „Papa! Papa!”, jakby to mogło w jakikolwiek sposób pomóc mężczyźnie bezradnie szamoczącemu się wśród kry i tobołków.

– Nie zostawiaj mnie! – płakała.

Mężczyzna wydostał się wreszcie, wczołgał się na lód, podobny do szarej, mokrej, grubej fokki, którą widziała kiedyś w cyrku. Był zupełnie przemoczony, na wpół żywy z zimna. Drżał jak w febrze i szczął zębami. A przecież znajdowali się w szczerym polu, wśród bezlitosnej kurzawy śniegu, bez wozu, bez konia, bez pieczołowicie zapakowanych bagaży. Dopiero po dłuższej chwili Adelaide uświadomiła sobie, że przez cały ten czas kureczowo ścisnęła w rękę własną torbę. Ale choć szukała w niej czegokolwiek, z nadzieją, że jednak nie była aż tak głupia, by pakować poezje Schillera zamiast koca i atlasowe sukienki zamiast swetrów, musiała jednak z przerażeniem stwierdzić, że jednak była głupia. Ale to było wieki temu, całe trzy dni temu, gdy była jeszcze młoda i niedoświadczona.

– Przepraszam cię, Papo! – szeptała nieustannie, przetrząsając torbę po raz drugi, trzeci, czwarty, dziesiąty, jakby to miało sprawić, że cokolwiek magicznie się w niej pojawi.

Złota pastereczka na zegarze, ta wierna powiernica dziewczęcych marzeń, miła towarzyszka od zawsze mieszkająca w jej pokoju, zdawała się teraz naśmiewać bezlitośnie.

Minęła cała wieczność. Komuś udało się wydostać, ktoś kogoś uratował, ktoś inny poszedł na dno. Kilka wozów się zapadło, lecz inne ominęły ich szerokim łukiem. Wszystkie identyczne, przepełnione rzeczami i zmęczonymi ludźmi, ciągnięte przez zmęczone konie. Pierwszy z nich zatrzymał się przy Adelaide i jej ojcu.

– Trzeba ratować pana profesora! – powiedział stanowczy męski głos. Był to młody mężczyzna, Friedrich Riegel, dawny uczeń Brauna. Obok niego na wozie

siedziała ładna, okutana chustami małżonka z wyraźnie zaokrąglonym brzuchem ciężowym. Wyglądała na przestraszoną, ale i zdeterminowaną, by wyrwać się z tej apokalipsy, mimo to pomogła przebrać niedoszłego topielca w suche ubrania, otulić kocem, zrobić mu wygodne miejsce na przeładowanym wozie. Adelaida powtarzała mechanicznie jak zacięty kurant w zegarze: „danke schön”.

– Kochanie, posłuchaj i zapamiętaj! – odezwała się kobieta nagle. – My, Niemcy, musimy trzymać się razem. Szczególnie teraz, gdy nienawidzi nas cały świat, gdy nienawidzi nas ten przeklęty kraj, przez który przyjdzie nam jechać, gdy nienawidzi nas nawet ta polska rzeka!

Adelaida zadrżała, może z zimna, bo wciąż miała przemoczone nogi, a może ze strachu. Po raz ostatni obejrzała się na Wisłę, ciemną i ponurą, która pochłonęła prawie wszystko, co posiadali.

Na szczęście ojciec wyrwał się z tej nienawiści. Córka otuliła go szczelnie kocem, pogłaskała po nieogolonym policzku. Uśmiechnął się do niej. Dopóki oboje żyli, istniała nadzieja, że pewnego dnia pokonają strach i przywrócą życiu właściwy rytm.

Kaszubska wieś Lusin była osadą rzuconą pośrodku niczego, gdzieś między polami i lasami, gdzie diabeł mówił dobranoc. Biegły przez nią tory kolejowe i stał maleńki budynek dworca, choć Adelaidzie nie dostrzegła żadnego pociągu, tylko tory, tory biegnące w dal aż do horyzontu. Nad szachulcowymi chatami i ceglanyimi domami górowała czerwona wieża kościoła ewangelickiego oraz szara wieżyczka kościoła świętego Wawrzyńca. Na uliczkach przystawały kobiety okutane w chusty i mężczyźni w kozuchach i przyglądali się kawalkadzie wozów. Friedrich Riegel wstrzymał konia, wycelował końcem bata w kierunku jednego z Kaszubów.

– Du! – powiedział. – Ty dasz nam nocleg!

Kaszuba zmierzył ich posępnym wzrokiem, ale nic nie powiedział, kiwnął tylko głową i wskazał, że mają jechać za nim. Zatrzymali się przed jedną z szachulcowych chat na obrzeżu wsi. Z tyłu znajdował się sad, ogołocony z liści i zasypany śniegiem oraz czarny, zamarznęty staw. Bury kundel wyskoczył z budy przy stodole i zaczął ujadać. W oborze z rykiem odezwała się krowa.

– Daj nam coś do jedzenia! I kubek gorącego mleka dla profesora! – rozkazał Friedrich, po czym z pomocą młodego syna Kaszuby przeniósł Johanna Brauna do łóżka.

Johann Braun był już bardzo chory. Od dwóch dni miał wysoką gorączkę, męczył go kaszel, opadał z sił. Adelaide, sama podziębiona, zmęczona, czuwała przy ojcu wytrwale. Kaszubski gospodarz, u którego się zatrzymali, nazywał się Józwa Necel, jego żona Truda Neclowa, dwudziestoletni syn Szczepan, a piętnastoletnia córka Zosia. Do stołu siadał z nimi także małomówny mężczyzna, wychudzony, z zapadniętymi oczami i krótko ostrzyżoną głową, przypominający raczej kościotrupa obleczonego skórą niż żywego człowieka. Gospodarz nazywał go „swoim kuzynem”, a ani Rieglowie, ani Adelaida, ani jej ojciec, nie poddawali w wątpliwość tych słów, nie mieli na to czasu ani chęci, choć Friedrich Riegel patrzył na „kuzyna” złośliwie zmrużonymi oczyma, jakby znał całą prawdę. Nie tak dawno przechodził przecież tędy marsz ewakuacyjny obozu pracy Stutthof. Adelaida, dla której wojna mimo wszystko kojarzyła się wciąż z kwiatami rzucanymi pod stopy młodym, pięknym żołnierzom i z hymnem „Deutschland, Deutschland über alles” śpiewanym ze łzami wzruszenia w oczach, nie знаła jeszcze wszystkich grzechów swojego narodu.

W sąsiednich domach gospodarzy zamieszkali inni mieszkańcy Osterode, Königsberg, Allenstein, Braunsberg, Sensburg i wielu innych miast, miasteczek i wsi Ostpreußen. Ostpreußen już nie istniały, były zlepkiem przerażonych tułaczy. Kaszubi patrzeli na nich krzywo, ale nie odmawiali, bo namiestnik Albert Forster kazał udzielać schronienia uchodźcom z Prus Wschodnich.

– Adelaido, twój ojciec jest bardzo słaby. Nie przeżyje dalszej podróży. Musi wydobrzeć – powiedział nazajutrz Friedrich.

– Oczywiście – zgodziła się z niekłamaną radością. Czuła ulgę, bo dobrze było mieć wreszcie miejsce do spania, nawet jeśli to była tylko skrzynia okryta owczą wełną stojąca przy łóżku ojca – zawsze to lepsze niż drzemanie w wozie w lodowatą, styczniową noc czy twarde, pełne wszy posłanie w kolejnej karczmie; dobrze było jeść ciepłe, smaczne posiłki przy stole zamiast suchego chleba czy niesmacznej zupy; dobrze było na chwilę zatrzymać się, zamiast pędzić wciąż w nieznanie.

– My nie możemy zostać. Lada moment będą tu Sowieci – oznajmił Friedrich.

Adelaida pojęła straszną prawdę.

– Chcecie... nas zostawić?

– Rozmawiałem z twoim ojcem. Zgodził się pozostać z Neclami, żeby nas nie opóźnić. Ty pojedziesz z nami.

– Nein, nein, nein! – wykrzyknęła. Wpadła do pokoju, w którym leżał ojciec, rzuciła się do jego łóżka. – Nein, Papa! Ja zostaję z tobą!

Daremnie ją przekonywali. Gdy odmawiała drżącym, lecz dumnym głosem, czuła się jak Herr Schwenka, który zdecydował się stawić czoła całej Armii Czerwonej, zamiast się poddać. Ona też nie bała się śmierci, wołała śmierć niż nieustanną ucieczkę. Przez chwilę wydawało jej się, że nareszcie wygrała ze strachem. Jednak kiedy przez okno obserwowała, jak Rieglowie wsiadali na swój wóz, jak trzasnął bicz, jak odjechali przed siebie i zniknęli gdzieś na obcej drodze, zrozumiała, że walka jeszcze trwała. Złote wskazówki zegara na kremowej tarczy sunęły uparcie do przodu, choć dla Adelaidy czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie, odmierzał tylko kolejne minuty strachu.

Ojciec umierał powoli. Adelaida do ostatniej chwili wierzyła, że wyzdrowieje. Przyniosła skrzynię jeszcze bliżej jego łóżka, by nawet w nocy wsłuchiwać się w ciężki oddech i mieć pewność, że wciąż żył. Nie odchodziła od niego ani na krok. Nie chciała jeść posiłków przy stole z Neclami, nie chciała słyszeć, jak Józwa Necel mruczał pod nosem coś, co brzmiało jak „przekłęci Niemcy” – by to zrozumieć nie musiała znać dobrze ani języka kaszubskiego, ani polskiego, ale jeszcze bardziej nie chciała widzieć litości w dobrych oczach Trudy Neclowej, czuć współczującego uścisku drobnych dłoni Zosi, domyślać się, że Szczepan specjalnie dla niej uczył się języka niemieckiego, którego unikał przez całą wojnę, ponoć nawet do spowiedzi nie chodził, bo była po niemiecku, a teraz nagle „bitte”, „danke”, „du bist wunderschön”. Nie chciała tego. Chciała, by ojciec wyzdrowiał i by mogli uciec do Niemiec i zbudować życie od nowa. Do tej pory była przekonana, że Westpreußen są bardziej niemieckie niż polskie – teraz, patrząc na tych Kaszubów, pojęła jak bardzo się myliła.

Czasami próbowała się modlić.

– Vater unser im Himmel... – szeptała bezgłośnie z głową wspartą na sienniku ojca. Ale głos zamierał, a myśli uciekały. Modlitwa rwała się na strzępy. Może zresztą Boga już nie było, może strąciły go z Nieba radzieckie bombowce.

Ojciec umarł nagle. Tak zwyczajnie, bez żadnych wielkich słów pożegnania, jak to działałoby się w powieściach. Przed chwilą jeszcze w pokoju rozbrzmiewał jego ciężki oddech, a potem zapadła cisza.

– Nie zostawiaj mnie! – prosiła, ze strachu nie mogąc nawet płakać. – Nie zostawiaj mnie! – Wtedy podczas apokalipsy na Wiśle te słowa podziały jak zakłęcie. Ale teraz była tylko cisza.

Cisza i tykanie zegara. Spojrzała na zegar z pastereczką, na to jak wiśniowy marmur pięknie harmonizował z kremową tarczą i złotymi wskazówkami. Nie rozumiała, dlaczego właściwie wzięła ze sobą tę pamiętkę. Czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Tobie ju nicht blęczi nie ostał na świecie. Żëj z nama! – powiedziała Truda Neclowa, a jej mąż kiwał głową, bo nawet on wzruszył się losem sieroty.

Adelaide nie protestowała. Nie płakała, gdy obcy ludzie zabierali ciało ojca z łóżka. Nie buntowała się, gdy nieboszczyka złożono bez pogrzebu do wspólnego grobu wraz z ciałami więźniów obozu Stutthof. Nie dziękowała, gdy wolne łóżko z siennikiem wciąż jeszcze wgniecionym pod ciężarem ojca, gospodarze przeznaczyci dla niej. Nie prosiła o jedzenie, a mimo to posłusznie szła do kuchni za każdym razem, gdy gospodyni wołała „frisztëk” czy „pôłnie”. Nie rozmyślała nad tym, jak dojechać do cioteczki do Berlina, bo ani cioteczki, ani Berlina nigdy nie widziała na oczy. Nie zastanawiała się nad swoją samotnością. Nie czuła wdzięczności, gdy Neclowie planowali na wiosnę jej ślub ze Szczepanem – chłopakiem, którego imienia nawet nie potrafiła wymówić. Nie czuła uniesienia, gdy Szczepan szeptał: „du bist wunderschön”. W ogóle nic nie czuła.

Kiedy w Luzinie zaczęło mówić się o tym, że Armia Czerwona jest coraz bliżej, Adelaide postanowiła odważnie stawić czoła żołnierzom. Nie da się zhańbić, będzie walczyć jak tygrysyca aż do śmierci. Każdego dnia wyobrażała sobie, że umiera jak niemiecka bohaterka, godna poezji Schillera i opowieści niewiarygodnych jak z baśni.

– Ruscycy ju tu są! – zawołał Józwa Cyman pewnego poranka, gdy jaśniejące niebo miało wyjątkowo wiosenny odcień, a Adelaide poczuła tak ogarniający strach, że aż popłakała się ze wstydu nad własnym tchórzostwem. Pozwoliła się wraz z Zosią wpełznąć w kryjówkę w sianie w stodole.

Wkrótce usłyszały tętent koni i rosyjskie okrzyki.

– Polaki czy Germany?!

– Polaki! – wołał Józwa Cyman już z daleka.

– Wy macie czasy? Wódkę? Dziewuszki?

Odpowiedzi Necla nie dosłyszały. Przez jakiś czas panował spokój. Wieczorem kilku kozaków umościło sobie postanie w stodole, tak blisko dziewczęcej kryjówki, że aż czuły ich przesycone wódką i tanim tytoniem oddechy. Podczas gdy Zosia nieustannie przesuwała w palcach koraliki różańca, Adelaide rozmyślała o tym, czy śmierć bardzo boli. Tam pojęła, że czas nie ma tak naprawdę żadnego znaczenia. Wydawało jej się, że trwają tak miesiącami, gdy w rzeczywistości było to kilka dni. Kiedy przez szpary w deskach zauważyła, że jeden z czerwonoarmistów wyniósł z domu jej pamiątkowy zegar z pastereczką, a kurant wygrał cichą melodię, która dotarła aż tutaj wraz z melodyjnym bim-bom, zaczęła płakać.

– Głupia! Po ojcu nie płakałaś, a teraz ryczysz za zegarem? – zganiała ją Zosia łamaną niemczyzną.

Adelaida czuła jednak intuicyjnie, że gdy straciła zegar, pozostał jej już wyłącznie strach.

– Ja już nie żyję.

– Głupia! – powtórzyła Zosia, lecz na wszelki wypadek przeżegnała się kilka razy. Nie rozumiała, co starsza koleżanka miała na myśli, dopóki kilka tygodni później Adelaida Braun nagle nie zniknęła. Gdyby Zosia знаła Schillera, pomyślałaby, że to bardzo poetyckie zakończenie. Ale wówczas nikt z Neclów, ani nikt w Luzinie, nie potrafiłby tego pięknie opisać.

Daria Kaszubowska

Karma

Było późne popołudnie, a właściwie już wieczór. Doktor Eryk siedział w gabinecie na drugim piętrze kliniki MED-CAN. Była ona dziełem jego życia, z którego był bardzo dumny. Dzięki swojemu talentowi, wiedzy zdobytej na studiach medycznych oraz pracy, szybko zyskał sławę znakomitego specjalisty w sprawach chorób nowotworowych. Zasłynął z niekonwencjonalnych, ale skutecznych form leczenia. Nie stronił od nowatorskich i ryzykownych terapii, które jednak okazywały się efektywne. Uważany był za człowieka, który jest ostatnią deską ratunku dla przewlekle chorych onkologicznie.

Wśród współpracowników na pewno cieszył się szacunkiem, ale niekoniecznie sympatią. Był bardzo wymagający. Wiele oczekiwał od siebie i od współpracujących lekarzy. Niewielu było w stanie sprostać jego oczekiwaniom. Podobnie wysokie wymagania miał w stosunku do personelu pielęgniarskiego i administracyjnego. U niego wszystko musiało być poukładane, na najwyższym poziomie, zawsze na czas i niezawodne. Być może dlatego spędzał w pracy po kilkanaście godzin dziennie, czym doprowadzał do frustracji swoje sekretarki. Tak, od niedawna oprócz pracy jako lekarz, pełnił także funkcję prezesa kliniki. W sumie to nic dziwnego. Był jej głównym udziałowcem. Ale nie dlatego Rada Kliniki powierzyła mu tę funkcję. Był lekarzem o światowej sławie, którego nazwisko przyciągało do kliniki możnych tego świata, którzy potrzebowali pomocy medycznej. Dla Rady był przysłowiową kurą znoszącą złote jaja. Jako pracoholik, nie miał nic przeciwko temu, aby wziąć na siebie kolejne obowiązki. Żył pracą i dla pracy. Przecież i tak wieczorem w domu nikt na niego nie czekał...

Za oknem spochmurniało i zaczął padać deszcz. Było cicho. W gabinecie paliło się tylko światło lampy biurkowej, a doktor przeglądał dokumenty medyczne pacjentów. Analizował stan chorych, sprawdzał, czy załączono wszystkie wyniki badań diagnostycznych, przeglądał zdjęcia RTG i analizy USG.

Nagle cichutko zaskrzypiały drzwi i do gabinetu weszła sekretarka. Edyta była lekko przestraszona i onieśmielona. Pracowała w klinice zaledwie od dwóch

miesiący. Miała zajmować się obsługą sekretariatu jako pomocnica asystentki doktora, ale w związku z chorobą szefowej sekretariatu, nagle musiała ją zastąpić. Trochę bała się doktora. Wydawał się on zimny i wyniosły. Rzadko się uśmiechał i mówił wyłącznie o pracy.

– Panie doktorze... – powiedziała cicho.

Eryk uniósł głowę znad papierów i spojrzał w kierunku, z którego dochodził głos. Nic nie odpowiedział. Czekał.

– Przyniosłam dokumenty pacjentów, o które pan prosił...

– Czy to wszystkie przypadki z ostatniego tygodnia?

– Tak. Pacjenci zakończyli terapię. Przygotowane są nawet ich wypisy, tylko...

– Tylko co? – zapytał oschle Eryk

– Tam trzeba jeszcze ustalić całkowity koszt leczenia i przygotować dla nich rachunki... Ale to tylko trzech pacjentów.

– Dobrze – mruknął doktor nawet nie spojrzawszy na sekretarkę. Wyciągnął rękę po dokumenty, nie przestając przeglądać akt. Usiłował sobie przypomnieć jak nazywa się ta nowa sekretarka... A tak, to Edyta. Szara gąska z małego miasteczka, która przyjechała do dużego miasta do pracy. Zachowuje się jak przestraszona nastolatka. Parę razy nakrył ją jak ukradkiem rozmawia przez prywatny telefon w pracy. Trochę go to irytowało, dlatego zapytał kiedyś do kogo tak wydzwania. Okazało się, że do matki, która pozostała w jej rodzinnym mieście. Edyta jest jej jedyną córką. Są ze sobą bardzo zżyte. Od pewnego czasu matka trochę niedomaga. Ma problemy z chodzeniem i pierwsze objawy choroby Parkinsona. Na to wspomnienie, Eryk lekko się wzdrygnął. – No cóż, nic nie trwa wiecznie – powiedział jej wtedy. Edyta podeszła do biurka i wręczyła Erykowi dokumenty.

– Może pani już iść.

– A czy... będę jeszcze potrzebna? Bo, jest już 18...

– Jeszcze pół godzinki – Eryk szybko wszedł jej w słowo – przejrzę co mi pani przyniosła i oddam – mówił nieco poirytowany. Czy ona naprawdę nie wie, że praca w branży medycznej wymaga poświęceń? Pewnie znowu chce dzwonić do matki.

Drzwi zamknęły się cichutko. Doktor Eryk odłożył przeglądane akta i zabrał się za dokumenty jakie przyniosła sekretarka. Pierwsze dwa przypadki były

proste. To były typowe „tłuste koty”, jak ich nazywał. To pacjenci należący do wyższych sfer. Bardzo majątni i ustosunkowani. Pobieźnie przejrzał tylko zapis choroby. Wszystko było standardowe. Ostatnim elementem leczenia była operacja chirurgiczna, którą zresztą sam wykonywał. Szybko autoryzował dokumentację i zaakceptował wystawione rachunki pro-forma. Był zadowolony, że tak szybko mu idzie. Wziął do ręki ostatnią teczkę z dokumentami i otworzył...

W tym momencie coś ścisnęło go za gardło. Zacisnął odruchowo szczęki tak siedział przez dłuższy czas patrząc na pierwszą kartkę. Pośród różnych danych było tam także zdjęcie pacjenta i jego nazwisko.

– Edmund Lassard – powiedział do siebie – Lassard...

Eryk odchylił się na swoim fotelu i odsunął od biurka. Dłonie splótł na karku i przymknął oczy. To nazwisko przywołało w jego pamięci coś, co od dawna starał się od siebie odepchnąć. Teraz wspomnienie wróciło ze zdwojoną siłą. Westchnął głęboko i przysunął się do biurka. Wzrok wbił w zdjęcie Edmunda Lassarda i zamknął oczy...

– Łapać gnoja! – krzyknęła pulchna Luiza, która na targowisku sprzedawała owoce i warzywa. – Ukradł jabłka!

Przechodnie i sprzedawcy ze zdziwieniem spojrzeli w kierunku Luizy. Ta, pomimo słusznego wieku i tuszy, wyskoczyła ze swojego boxu i na ile potrafiła, pognąła przed siebie. Goniła jakiegoś dzieciaka, który uciekając gubił owoce, które wypadały mu z torby. Zderzał się z przechodniami, przewracał stojaki, rozsypywał ustawione na stołach produkty. Chłopak był szybki, ale Luiza nie odpuszczała. Cały czas wrzeszczała i próbowała dotrzymać mu kroku.

– Magda, co się dzieje? – krzyknął Edmund, który na targowisku miał box z artykułami chemicznymi i środkami czystości. Był na zapleczu, ale nawet tam słychać było hałas.

– Nic tato – odkrzyknęła córka, która stała za ladą – to Luiza goni jakiegoś małolata. Pewnie to kolejny złodziejasek, który zwinął jej jakieś owoce.

– Taaa, pewnie myśli, że go dogoni – uśmiechnął się pod wąsem Edmund.

– Tato, oni biegną w naszą stronę...

– Czekaaj, zaraz złapiemy gada.

Edmund szybko schował się za rogiem swojego boxu i gdy dzieciak nadbiegł, podstawił mu nogę. Ten wywrócił się, ale w rękach wciąż trzymał worek. Chłopak przez moment nie wiedział co się dzieje. Na to czekał Edmund. Od razu do niego przyskoczył, chwycił za rękę i mocno ścisnął. Chłopak nie wyrwał się. Dyszał i wbił wzrok w ziemię. Po kilku sekundach nadbiegła Luiza. Przeraziłwie zdyszana zaczęła machać rękami i wygrażać dziecku.

– Spokojnie Luizo, masz tu swój towar – powiedział Edmund wręczając jej torbę którą odebrał chłopakowi.

– Takiego gnoja to trzeba na Policję i do poprawczaka!

– Dobrze, dobrze, zaraz załatwimy gagatka – odpowiedział Edmund przyglądając się chłopakowi. Zastanawiał go dziwny, zacięty wyraz twarzy chłopaka i to, że nic nie mówił. Nawet się nie ruszał. Edmund miał już do czynienia z drobnymi złodziejami. Łatwo było ich rozpoznać. Tymczasem ten chłopak zachowywał się inaczej. Nie skamlał o litość, nie prosił żeby go puścić, nie obiecywał, że to już ostatni raz... Po prostu stał.

– Idź, pilnuj swojego dobytku, bo ci go jeszcze ktoś rozkradnie – powiedział do Luizy – a my sobie pogadamy z naszym szybkobiegaczem. Magda, zrób nam miejsce na zapleczu. Trzeba ugościć gościa – powiedział z lekkim uśmiechem.

– A nie lepiej od razu na Policję? – spytała Magda.

– Na Policję zawsze zdążymy, a teraz chciałbym porozmawiać z naszą małą ofiarą.

Wszyscy troje weszli do środka boxu i usiedli. Dla bezpieczeństwa, Edmund usiadł przy drzwiach. Z boku była jego córka Magda, a przy ścianie posadowili chłopaka. Dopiero teraz Edmund go puścił.

– Magda, miej oko na sklep. Jeśli ktoś podejdzie, to wyjdź do klienta.

– Dobrze – kiwnęła głową Magda.

– No cóż, mój młody przyjacielu, powiedz skąd się tutaj wziąłeś i dlaczego postanowiłeś zabawić się w złodzieja?

Chłopak milczał i wciąż nie podnosił wzroku. Usta miał zaciśnięte. Edmund uważnie się mu przyglądał. To nie był zwykły złodziejasek. Miał zbyt schludne ubranie, porządne buty i elegancko przystrzyżone włosy. Coś tu nie pasowało.

– Masz może jakieś imię?

– Eryk... - odpowiedział cicho chłopak i po raz pierwszy spojrzał Edmundowi w oczy.

– Noooo, to pierwsze lody zostały przełamane. Coś już wiemy. Ja jestem Edmund Lassard. Gdybyś biegł wolniej, na pewno zdążyłbyś to wyczytać na reklamie nad moim sklepikiem, ale ty biegłeś bardzo szybko, tak jakby cię ktoś gonił – mówił dalej lekko żartobliwym tonem Edmund.

– Co cię podkusiło żeby kraść? – Edmund spoważniał i nachylił się nad chłopakiem. Ten odwrócił wzrok i spojrzał w bok przez małe okienko. Zaczął lekko drżeć i widać było, że walczy ze sobą. Edmund patrzył na niego i czekał. Nie spieszyło mu się. Wiedział, że trzeba dać chłopakowi czas, aby oswoił się z nową sytuacją i nowymi ludźmi.

– Może on niemowa jakiś, albo przygłup? – powiedziała lekceważąco Magda. Chłopak tylko łypnął oczami w jej kierunku.

– Córuś, nieładnie tak mówić o gościu – spokojnie powiedział Edmund. – Może ta kartka coś nam wyjaśni – powiedział i schylił się aby podnieść z podłogi jakąś złożoną karteczkę, która najprawdopodobniej wypadła z kieszeni chłopaka. Ten szybko klepnął się po kieszeniach w spodniach i z przerażeniem spojrzał na Edmunda. Tymczasem pan Lassard już otwierał ją w dłoniach i czytał na głos.

– Recepta... Hm... – zamilkł widząc szereg nazw medykamentów, których nie znał ani nawet nie domyślał się czemu służą. Rzucił tylko okiem na podpis na dole. Na szczęście oprócz lekarskiego gryzmoła, który udawał podpis, była także pieczętka, z której odczytał na głos – poradnia onkologiczna, lekarz.... – i zwinął kartkę.

– Magda, przynieś nam wody – poprosił. Gdy córka się oddalił zapytał chłopaka. – Czyja to recepta? – Ten milcząco spojrzał w oczy Edmunda. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale dla pana Lassarda było jak wieczność. Wytrzymał jednak wzrok chłopaka...

– Mojej matki – odpowiedział Eryk i w tym momencie jakby całe napięcie z niego zeszło. Znikła gdzieś jego zaciętość. Wróciła Magda i postawiła na stoliku pod ścianą trzy szklanki z wodą. Każdy wziął jedną i wszyscy ponownie usiedli. Edmund pociągnął łyk.

– A teraz Eryku, opowiedz nam o swojej matce.

Eryk chwycił szklankę w obie dłonie i wbił wzrok w podłogę. Nabrał powietrza do płuc, wyprostował się, spojrzał na Magdę, na pana Lassarda, oparł się plecami o ścianę i zaczął opowiadać.

Gdy skończył, Magda siedziała ze spuszczoną głową i miała żal do siebie, że tak obcesowo potraktowała chłopaka. Było jej go nawet trochę żal. Edmund odchylił się na krzesło i gładził ręką brodę. Patrzył gdzieś ponad chłopakiem i myślał. Eryk czuł ogromne zmęczenie i ulgę zarazem. Wyrzucił z siebie wszystko to, co siedziało w jego wnętrzu. Dawno nie miał okazji z nikim rozmawiać o matce i o sobie.

– No, zrobiło się późno – rzekł Edmund. – Magda, trzeba zamknąć sklepik. A ty Eryk, chodź ze mną.

Podeszli razem do kasy. Pan Lassard wyciągnął z niej plik banknotów i dał Erykowi.

– Weź i idź kupić leki. Powinno wystarczyć. Za resztę kup jakieś jedzenie, owoce, byle nie u Luzy – uśmiechnął się. – Może kup w aptecce jakieś białkowe drinki dla matki – mówiąc to włożył banknoty w ręce Eryka. – To jej pomoże wrócić do sił. A ty przyjdź tu jutro o piętnastej. Zawsze o tej porze zamawiamy sobie obiad na dowóz. Zjesz z nami.

– Dobrze - odpowiedział Eryk – ... i... dziękuję....

Edmund uśmiechnął się i położył rękę na ramieniu Eryka.

– Idź już, bo aptekę ci zamkną. Zobaczymy się jutro, to opowiesz co u mamy.

Gdy za chłopcem zamknęły się drzwi Magda natychmiast podeszła do ojca.

– Mam nadzieję, że wiesz co robisz? – powiedziała podpierając się pod boki.

– Pierwszy raz widzisz chłopaka na oczy i dajesz mu pieniądze?!

– Wiem co robię - uspokajał ją Edmund. – To dobry chłopak. Dobrze mu oczu patrzyło.

– Skąd wiesz że cię nie nabrał...

– Wiesz, ja go rozumiem, chociaż nie popieram takiego zachowania – dodał szybko. – Człowiek w ekstremalnej sytuacji zachowuje się ekstremalnie dziwnie. Przecież ten chłopak ma raptem 12-13 lat. Mieszka sam z matką, która ciężko choruje na nowotwór. Jest już na końcu długotrwałej terapii lekami, której dla jej dobra nie można przerwać, a im właśnie skończyły się pieniądze – odwrócił się i spojrzał córce w oczy. – Gdybyś miała do wyboru kupić jedzenie dla siebie albo lekarstwo dla matki, to co byś zrobiła? – Magda milczała. – A gdyby zabrakło ci pieniędzy i na jedno i na drugie?

Edmund zrobił kilka kroków po swoim kantorku i mówił głośno, jakby do siebie.

– To jeszcze dziecko. Myślał, że to co robi, jest wyjściem z sytuacji. Nie kraść dla siebie, tylko dla matki. A zrobił to, bo nie miał już nadziei, że ktoś mu pomoże. Jak tracisz wiarę i nadzieję, to jesteś zdolny do wszystkiego..., bo nie masz już niczego...

Zatrzymał się i spojrzął na Magdę. Uśmiechnął się. Córka podeszła do ojca i objęła go. Przytulili się oboje.

– Jesteś trochę wariat, ale kochany – powiedziała Magda. – Ty zawsze pomagasz ludziom.

– Bo trzeba być życzliwym – odparł ojciec i pocałował córkę w czoło. – Może kiedyś i ja będę potrzebował pomocy – zażartował.

Tymczasem Eryk szedł do apteki. Miał w głowie zamęt. Nie wiedział dlaczego nieznanemu i jej córce opowiedział wszystko o sobie i matce. Czuł jednak, że to dobrzy ludzie. Przecież dali mu pieniądze na wykupienie leków. No i zaprosili do siebie na obiad. Gdy już w domu podał matce leki, a ta zasypiała przytulił się do niej i powiedział.

– Wiesz, kiedyś będę lekarzem. Najlepszym na świecie. Sprawię, że już nikt więcej nie umrze na raka. Zawsze będziemy razem.

Eryk otworzył oczy. Za oknem zrobiło się zupełnie ciemno, ale deszcz chyba przestał padać. Nie było słychać bębnienia kropel o szybę. Zrobił głęboki wdech i spojrzął w róg biurka. Stało tam zdjęcie starszej kobiety. Na fotografii był naklejony czarny pasek.

– To już 10 lat ... – pomyślał.

Matka pierwszy raz zachorowała, gdy był dwunastolatkiem. Leczenie trwało pół roku i zakończyło się sukcesem. Przez kolejne osiem lat była zdrowa, ale potem nagle pojawiły się przerzuty. On miał wtedy 20 lat i był studentem medycyny. Bezradnie patrzył jak choroba wyniszcza jego matkę. Nikt na to nie mógł nic poradzić. Nawet on. Pomimo obietnicy jaką złożył dawno temu matce, nie udało mu się jej wyleczyć. Może dzisiaj byłoby to możliwe... Ale tego już nikt nigdy się nie dowie.

Po raz drugi wziął głęboki oddech i spojrzął na leżące na biurku dokumenty. Zobaczył na nich krople wody, co trochę go zastanowiło. Nerwowo przetarł

dłońmi oczy i zdziwił się, że dłonie zrobiły się wilgotne. Po chwili zrozumiał co się stało i trochę go to zawstydziło. Wstał, podszedł do ściany i zapalił światło sufitowe. W pokoju zrobiło się przyjemnie jasno i jakby ciepło. Usiadł za biurkiem i spokojnie zaczął wertować dokumentację Edmunda Lassarda. Zasepił się. To był paskudny nowotwór, który wymagał bardzo drogiego leczenia. Na szczęście udało się go zwalczyć. Problem polegał na tym, że pomimo ubezpieczenia zdrowotnego firma ubezpieczeniowa zakwestionowała część wydatków. Polisa nie przewidywała aż tak szerokiego zakresu leczenia. To oznaczało, że pacjent będzie dłużnikiem kliniki na prawie dwieście tysięcy.

Eryk na chwilę odsunął się od biurka i zamyślił. Po kilku sekundach wiedział już co zrobić. Sięgnął po smartfona i zalogował się do swojego banku - do swoich rachunków. Nieco ponad minutę zajęło mu zrobienie przelewu.

– Proszę podejść pani Edyto – powiedział do interkomu. Po chwili w drzwiach stanęła sekretarka.

– Tak, panie doktorze....

– Proszę zabrać dokumenty i nadać im bieg – powiedział Eryk, wyciągając do Edyty rękę z dokumentacją. Edyta podeszła i trochę zaskoczona zauważyła, że doktor patrzy jej prosto w oczy. Nie to było jednak najbardziej zaskakujące. Ten wzrok był taki jakiś życzliwy...

– Zrobiło się już późno. Jak skończy pani z tymi dokumentami, proszę iść do domu. Ja jeszcze chwilę posiedzę. Gabinet zamknę sam.

– Dobrze, panie doktorze.

– Zaraz, zaraz – zamyślił się Eryk – jeśli dobrze pamiętam, to pani matka trochę choruje, prawda? – Edyta już otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale doktor ciągnął dalej. – Proszę z nią tu kiedyś przyjechać. Chciałbym ją poznać. Zrobimy jakieś badania, oczywiście na koszt firmy, zobaczymy co i jak. Może będziemy mogli pomóc. W końcu MED-CAN to jedna z najlepszych klinik w tym kraju – uśmiechnął się.

– Dobrze, panie doktorze, chętnie.

– No, to czekam na propozycję terminu. Tylko proszę nie zapomnieć i nie zwlekać pani Edyto. Jesteśmy umówieni?

– Oczywiście panie doktorze.

– No, to świetnie. A zatem, życzę miłego wieczoru i do zobaczenia jutro w pracy.

– Do widzenia – odpowiedział lekko oszołomiona Edyta wychodząc z gabinetu. Eryk spojrział na zdjęcie na biurku i uśmiechnął się do siebie.

– Powinienem wcześniej to zrobić...

Tomasz Magulski

De/ka/meron

Bądź moim Boccacciem, będę twoją Marią, możemy też przyjąć
wariant odwrotny,
gdy wali się świat nic przecież nie jest stałe

zamknijmy drzwi na klucz i kwarantannę,
zbudujemy sobie własną Florencję pod starą lampą,
nakręcimy zegar,
będę ci opowiadać historie o rozpustnych księżach i cnotliwych
księżniczkach,
o nie całkiem wiernych kochankach i nieszczęśliwych rycerzach,
potem ty opowiesz mi o strachach i zmorach,
wrzeszczących czarownicach zamawiających morowe powietrze

bądź moim Boccacciem, mistrzem gestu i słowa,
przelejesz wino do kryształowej karafki,
ja przeleję swój strach w swoje ręce,
będzie przeciekać przez palce
i wsiąkać w szpary desek

kiedyś, gdy już wszystko poustawiamy na nowo
na swoim miejscu,
gdy świat ruszy jak po naciśnięciu klawisza enter,
spiszemy nasze lęki w stu opowieściach,
na ścianach zapętlą się dzikie wino

wypijemy za pierwsze wydanie,
nie do poprawienia

Małgorzata Borzeszkowska

Liść

patrzę w niebo przez przetarty liść,
to dobrze, że widzę tylko drobne fragmenty,
wymyki z niebieskiego kokonu dnia
mogę przesuwac liść w prawo lub bardziej na północ,
albo południe,
cokolwiek mi przyjdzie do głowy
mogę przesłonić brzydotę, zakryć to, czego nie chciałabym
już nigdy więcej zobaczyć,
żałuję, że strach i głupota nie są przedmiotami
- mogłabym przysunąć do oka przetarty liść i zniknęłyby już
na zawsze
Zerkam w to przetarcie i widzę szkocką kratę chmur, drzew
bukowych i sosen,
zeschnięte trawy jak poskładane puzzle,
kałuże na środku leśnej drogi pozlepiane z kawałków,
wszystko mogę sobie poukładać na nowo,
wymazać z przestrzeni i czasu to, co powinno już dawno zniknąć

tylko patrząc na ciebie odejmuję liść od oka
i tak jesteś jak wycięty z kolorowego papieru piaskowy dziadek,
przynosisz dobre sny
i sklejasz mnie w całość, gdy zamieram przerażona,
gdy Bóg patrzy na mnie przez przetarte liście

Małgorzata Borzeszkowska

strachy

Strach ma wielgachne oczy -
jak kot w zaroślach przy drodze,
jak strach co w podartej kapocie
stoi na jednej nodze.

Strach ma oczy zielone,
jak kot się chowa w koszyku,
boi się swego strachu,
straszy się swego krzyku.

Drży strach, gdy biją kuranty,
gdy dzwoni telefon z nowiną,
najchętniej by się w firanki
lub w koc z polaru zawinął.

I ma takie oczy okrągłe,
dwa ciężkie guziki srebrzyste,
przykryte mchu powiekami,
przykryte czerwonym liściem.

A gdyby zamknąć na długo
te oczy w strachu skąpane,
a potem znów je otworzyć?
Na mgnienie oka. Nad ranem.

Małgorzata Borzeszkowska

Na ulicy Śmiertelników

Pół-noc słoneczna. Ze strachu w pokoju mrugają święte obrazy.
Ciemność nie może zasnąć po przepitych dniach.
Wniebogłosy hałasują gwiazdy, przez okno śmierdzi czerwień.
Śmierć już nawet się nie kryje za swym martwym cieniem.
Na oczach świata i na sygnalach – wozi się ludzkie dusze,
uporczywie drżące przed wycięciem jestestw. Zaszycie w skórach
płaczą,
siedzą pod kamieniem trwogi ukryte przed swym czarnym snem.
Sieć smutków na ul. Śmiertelników w mieście powszechnym
zalewa rynek w centrum codziennego biegu. Widać na mapie,
jak jądro bomby bólu rozwija się na osiedlach doczesnej
egzystencji.
Pod chodnikami miast w wielkich gardzielach rurociągów
strzępki tkanek dobrodusznym dłoni
złamane płyną rwącym strumieniem odpadów deszczy i ścieków,
podkopując mury życia. Wyginać ma cały stary gatunek
i wszystkie czyste formy istnienia. Bogu ducha winne,
nagie do kostek pogardy ślimaczyce truchleją. W dusznej
rzeczywistości

blade zmielone owady toczą się w stanach cieczy próżnych,
cicho potykając się o siebie podczas otwartej ciągle nocy.
Zostawione same w przygnębionym lesie
z zimna krwawiące sromotne muchomory konają szkarłatne
w grudniowym ponoć grzechu. Ziemia z trudem przelyka
oktawy skrytych w sobie gorzkich żali i brak słów,
gdy czas ranne robi pogrzeby kościom życia w sinym śniegu.
Światło niby drapieżne zamyka się w klatkach strachu.
Wybuch smutek, gdy wszystko przyjmuje twarz śmierci,
a godzin ciemna nie da się na poświęcie podmieniać.
Żadnego brzasku nie można być pewnym.
Nikt nie jest też w stanie obiecać, że nie umrze więcej.
Każdy żywy choruje, jak wiadomo, na tę samą śmierć
i nim się obróci, nawet jeśli doskonały, zginie jego cień.

Hanna Makurat-Suzik

Historia strachu

Historia strachu od początków świata
nie nauczyła nas niczego.
Przez pokolenia lata śmiertelne nie ustały.
Wyje w nas ciągle ten sam ryk,
jeden z największych pośród bezimiennych głosów.
Ze wszystkich stworzeń boimy się najbardziej
i nieustannie. Niby coś więcej wiemy,
a jednak nic takiego.
I niczego w istocie nie wiemy na pewno.
Mimo że rzeczywistość straszy nas sobą,
sami pozostajemy swego smutku winą.
Pod adresem nocy na placu Pogrzebowym
jesteśmy wykonawcami mordów
starych smutnych świateł czy eutanazji kwiatów.
Ukrywamy się potem przed samymi sobą
w dożywotnich dziuplach. W czeluściach swych czasów
wzajemnie ślemy do siebie listy jadowite.
Mówimy jedynie w językach śmiercionośnych.
Gdy Boga oblicze nic nie widzi, przestajemy wierzyć...

Bijemy dusze tych, którzy od świtu nas poją czułością.
Przelewamy coraz więcej cudzych łez.
Jak paradoks: nieznanie i zło wciąż wywołują w nas lęk.
Na przekór wszystkiemu, co minęło,
w tym samym ciągle gatunku świata
wewnętrzne bóle przodków ludzkości
po wiele razy w nas zmartwychwstają.
Chcąc nie chcąc, każdy przeżywa je choć raz
ponownie sam na sobie.
Na kartach tomów własnych historii
cali jesteśmy tragiczni w klasycznych dramatach.
Godni pożałowania niczym truchła ptaków
podczas wybuchów martwych śmierci.
Zaśmiardli ukrywamy się przed nas samych zgubą,
przed wejściem w bezwład niewidomych nocy,
snów bolesnych czy starych ociemniałych mroków.
Nikt z nas nigdy nigdzie za nic nie traci swego lęku.
Krew drapieżna bulgocze w brzuchu stracha duszy,
a on sam, choć wartko nie przemija,
nie da się jak kot oswoić przedtem dziki.
Nie da się udowodnić,
zwłaszcza gatunku zasiedlonego od urodzenia
pod imieniem tzw. człowieka.
Tak, tu chodzi o nas samych.

Trybunał dziejów już rozlicza ludzkość,
przy blasku płonących dzielnic ziemi
spłoszona cnota przecież od wieków ginie na wojnach.
Pogrzeb miłości okrutnie cuchnący
idzie pochodem powszechnego dramatu.
Teraz bywa nawet gorzej, niż przedtem
dało się pomyśleć. Choć zawsze trzeba było
daleko chować bliskich.
Zarazek strachu przenosi się wciąż szybciej,
przeobrażając się w epidemię katastrofy,
która kosztuje miliardy pełnych istnień.
Świat boi się zwłaszcza samego nawet siebie,
kryjąc się za zachodem nieb kwaśnych,
krwistoczerwonych od bólu.
Żywi coraz chętniej strwożeni
dobrowolnie się kładą już do grobów.
Jako rasa smutku sami są zakładnikami własnej trwogi.
A każdy z ludzi to jakiś w siebie wcielony
S t r a c h K o w a l s k i.

Hanna Makurat-Suzik

Historia pewnej ludzkiej duszy

Bezdomną niegdyś mą duszę przejrzały niebiosy.

Sam Bóg jeszcze w zaświatach wyszarpał ją za skrzydła
i sprowadził do stanu bieli. Długo tresowano ją na sprawiedliwą,
by w końcu wypuścić samą z błękitno-martwej strefy i oprzeć
o mój cień.

Umyto ją zrazu okruczem śniegu i odziano w łachman ciała,
wyrzucono w świat tą samą służą, którą spływa dobroczynność.
I oto stała się małym żyjątkiem podobnym tylko do mnie samej.
Na ziemi natomiast przeżarły ją troski, wyciskając wiele kropel
życia.

Chodziły słuchy, że już jako dziecko miała zawał serca.

Najadła się wpiern strachu, który wciąż całował ją po półmartwej
twarzy.

W XXI wieku zaś jeszcze bardziej podupadła. Wszystkie jej
komórki
stały się nerwowe, a ona sama obłąkana przez wysięki smutków
i zapalenia życia oraz zalewające obecną rzeczywistość
tzw. telewizyjne ścieki.

Przytłumionym głosem nie miała nawet sił obronnych,
by poskarżyć się na niemoc.

A gdy wreszcie całkiem zamarła z przerażenia, spoliczkowano słabą.

Zaprowadzono chorą i siną do ubojni dusz i zaaplikowano gazy zgończe w więdnące żałośnie jelita oraz dosercowy zastrzyk śmierci.

Stała się odtąd martwotą, duchem samej siebie, listopadzią strzaskaną i niewydolną, pochowaną w (bez)końcu przez grabarzy dusz.

Hanna Makurat-Suzik

Strach

Bóg strachu boi się tylko czasu
Niepewnej ostatniej sekundy
Minuty wyrwanej niepewności
Ostatniego niemego oddechu

Cztery konie apokalipsy
Heliosa pozbawiając jestestwa
Śmierć przed bóstwo powiodły

Nieziemska postać
Kłaniająca się wyłącznie sobie
Podniosła twarz
W absolicie nie-bytu
W oczach nie-istnienia
W twarzy nie-człowieczeństwa

Wyrok wydany
Czas przemówił
Śmierć cierpiała
Strach zamarł

Aleksander Lewandowski

Gdyby jutra nie było

Gdyby jutra nie było
Gdyby dziś było ostatnim
tchnieniem wszechświata
Komu powiedziałbyś „kocham”

Gdyby dziś ostatni raz
Słońce musnęło ciepłem twojej ciała
Kogo byś przytulił

Gdyby dziś ostatnia kropla wody
Obmyła twoje oblicze
Nad kim byś zapłakał
Gdyby dziś ostatni raz tworzyło się wspomnienie
Kogo byś pamiętał

Gdyby w nieistnieniu istniało życie
Który z bytów zabrałbyś w bezkresną podróż
Gdyby jutra nie było
Czy ktoś wybrałby Ciebie

Aleksander Lewandowski

Pandora

Gdy świat się rodził
A czas powstawał
Gdy pierwsze minuty
Stworzyły człowieka
Gdy Prometeusz już cierpiał
Pandorze puszkę wręczono
Gdy ludzka ciekawość zwyciężyła
Strach otworzył oczy
Gdy nagle czas przyspieszył
Ludzie poznali dotyk śmierci
Gdy zegar wybija ostatnia godzinę
Strach przegrywa
Gdy nie ma się już czego bać

Aleksander Lewandowski

Upadek Lucyfera

nie ma w sobie więcej niż
światło i pył
pełen białego hałasu
nie jest niczym więcej niż myślą samą w sobie - tyle w nim
człowieka
jak ma wiedzieć co to znaczy przelewać krew
gdy jej nie ma
i jak ma stąpać twardo po ziemi
gdy nie od tego ma skrzydła
a na zewnątrz
pióra jak u gęsi podkrążone oczy kępka włosów...
gdzie aureola?
nie wiem
powiedz mi jak skrzywdzić anioła
jak skrzywdzić coś co ma w sobie gwiazdę coś co samo w sobie
jest gwiazdą

a ja go będę łapać za gardło
i dusić i pić z niego aż
obleje się sińcem
kolor zatańczy na zmęczonych jagodach

będziemy
tańczyć
ja i moje ręce i gardło i skrzydła
karnawał naszych kolorów
spłynie po wieczornych chmurach
coś błyszczy i
zaraz gaśnie
i płomień bucha z jego oczu uśpionych zbyt długo za mało
czujnych już dawno nie wszechwidzących
krzyknął
i inferno spłynęło na ulice
a kiedy upadnie
wypowiem życzenie

Oliwia Plichta

Moja jesień

Już drzewa zranione czerwienią
I twoje włosy mignęły mi kasztanem
Ostatni raz
Za oknem pociągu
Jadącego nawet dalej niż moje myśli o Tobie
A więc tak:
Stoję pod zakrwawionym drzewem
Teraz to moje, moje drzewo
Usta jego gałęzi całują niebo
Moje drzewo wie, że życie uchodzi wraz z ostatnim liściem —
włosem, zębem, paznokciem
Patrzę
Dworzec tonący w pożegnaniach
Patrzę
Zmarznięte dłonie moje liście strzepują z ławek
A więc tak:
Stoję na granicy
Między tym, co było, a tym, co stanie się wiecznością
Moje liście spadają na tory
Chcą już do Ciebie

Słyszę
Twój szept, twój w moich liściach
Słyszę
"Nie chcę żyć w świecie nieobecnych, martwych ludzi
Mówią, że będzie lepiej
kiedy przyjdzie wiosna"

Oliwia Plichta

Krwawy Baron

Otoczony tęsknymi hiacyntami
Patrzył w niebo
Jakby było malowanym kłamstwem

Dalej pamięta czas, gdy jego niewinne rany nie mogły patrzeć
A krwawe oko widział tylko w zachodzącym słońcu

A teraz

(„Dobrze się Pan czuje?
Panu już od dawna nie rumienia się policzki
Panu serce bije ciągle tak samo
Pan już się nawet nie uśmiecha”)

Gdy przyjdzie mu się pożegnać
Ona nie wejdzie
Nie ucałuje
Cóż
Przecież zamówiła bukiet

Cisza rodzi się z Gniewu i Miłości
Kuli się między nimi w kołysce plecionej Nadzieją
Gniew jest kobietą
Której Miłość
Nie pozwala na krzyk

Malował srebrem
I bogacił się
Spływając czerwienią

Otoczony tęsknymi hiacyntami
Patrzył w niebo
A chmury same układały się w kraty

Oliwia Plichta

Mój Paryż

- prolog -

Paryż widziany od zewnątrz był pięny, był miastem tysiąca snó i marzeń pełnych gwiazd oraz miłości. Na kartkach historii zapisał się delikatnością, której pozazdrościłby niejeden muzyk tworzący symfonie. Gracja, wrażliwość, piękno, dobro, takie przymiotniki najlepiej go określały. Nie dość na tym, było to miasto zakochanych, szalonych artystów i pięknych istot.

Ludzie patrzyli zbyt płytko na Paryż zbudowany dla kruchych duszyczek, szukających inspiracji oraz romantycznych przygód. Fałszywe piękno ulic oraz budowli miało swoje podłe tajemnice, skrywane w mrocznych kątach, niedostępnych dla osób niewłaściwych. Zakurzone zapomniane sekrety nie interesowały już nikogo. Wydawały się tak nierealne i burzliwe, że większość wołała o nich nie wspominać. Brudziły idealny obraz Paryża. Ten obraz, dla którego artyści marnowali lata, żeby uwiecznić go na płótnie. Obłudny ideał.

Wydawało się, że kawa w Paryżu ma lepszy smak. Jakby była robiona z idealnych ziarenek, zalewana idealną wodą, podawana w idealnej zastawie dla idealnego klienta, którym był każdy Paryżanin. Tutaj nawet dania rozpyływały się w ustach już przy pierwszym gryzie. Pieściły podniebienie rozkosznymi smakami.

Iluzja za iluzją tworzyły obrazy, które przestały odzwierciedlać realny świat, bo ani razu jej nie dostrzegłam, a przecież cały czas krążyła wokół. Śmierć dawała wyraziste znaki, które ja zapijałam różnymi trunkami, tańcząc do wschodu słońca.

Ludzie patrzyli w Jej oczy, w desperacji chcieli sprzedać duszę diabłu, aby zacząć oddychać.

Bo w Paryżu coraz gorzej się oddychało. I ta *melodia*. Nawet nie wiadomo, od kiedy zaczęła się mieszać z codziennymi dźwiękami ulicy.

Raz, raz, raz, raz...

Wizytówka zdradliwej Śmierci.

Poranek

Bar. Wino. Ty. Mój dom. Łóżko. Pocałunki. Paryż.

Pokój stał się powiernikiem naszego mrocznego sekretu. Gdy pomiędzy nami, ludzie umierali w niewiedzy, że są na świecie grzesznicy kochający godziwie, my tkwiliśmy w objęciach nocy i kłamstwa, wygłaszając requiem dla plugawej duszy. Zwodzeni przez marne ciało, błagaliśmy o ukojenie.

Byłam Paryżanką. Byłam zgubioną duszą, myślącą, że Śmierci nie ma, choć Jej *melodia* otulała mnie każdego dnia. Zagłuszyłam ją beztroskimi myślami, które potem nie miały znaczenia. Wtedy śmiałam się głośno.

Raz, dwa, trzy...

A Paryż był wszystkim, czego pragnęłam w postaci prawdziwej miłości.

Trudno mi stwierdzić, co było bardziej przerażające: chęć pozostania z nim na zawsze czy szczerść w jego oczach, której nie mogłam podważyć. Szko- wałam kłamstwa, układając starannie słowa, żeby zrozumiał, że nie ma dla nas nadziei w tym świecie, że lepiej zakończyć ten związek, zanim zaangażujemy się zbyt mocno. Zanim jego usta wypowiedzą: Kocham cię.

Nie chciałam kochać wiecznie. Łudziłam się, że mam jeszcze czas.

Wolałam nie zadrećcać się jakimiś porannymi wydarzeniem, które w południe było już historią. Niestety, Paryż nie chciał wymazać tego z mojej pamięci. Miałam wrażenie, że w nachalny sposób pokazuje mi obrazy, żebym zrozumiała, co straciłam i jeszcze bardziej zatraciła się w szaleństwie, zwaną miłością.

Bo był jeszcze czas.

Bo nikt tak nie wielbił Paryża, jak Niebo. Aniołowie kochali Paryż. Uczucie tak silne, jak nienawiść do ludzi sprawiedliwych, oceniających Paryż głęboko i dosadnie, wytykające realne błędy i pomyłki. Ona też kochała jak aniołowie.

Ich czekało wieczne potępienie.

Południe

Paryż przyciągał ludzi. Kusił wszystkimi swoimi zaletami, a gdy ofiara wpadła w sidła, stawała się innym stworzeniem, przerażającą karykaturą zdolną do wszelkich zbrodni. Już nie mogła się uwolnić od jej wpływu, ponieważ jeden gryz zakazanego owocu wzbudzał apetyt na kolejne. Wyścig trwał tutaj o każdy ofiarowany przez Paryż owoc. Ludzie, niczym bestie, rzucali się na lepsze kąski, nie zwracając uwagi na to, że czasem wbijają zęby w siebie samych.

Każdego dnia na moim ciele pojawiały się nowe rany.

Paryż był litościwy. Paryż pamiętał o swoich dzieciach okrutnie odebranych matkom. Czcił ich odejście. Płakał, krzyczał, prosił o miejsce w niebie. Z czułością pieścił martwe ciała, śpiewając im słodkie kołysanki, jakby Śmierć była jedynie krótkim snem. Paryż nie grzebał na wieki.

W każdym momencie wspominał uroczyście o mieszkańcach, chcąc ukoić łzy bliskich.

Paryż kochał swoje dzieci.

Spojrzałam na mężczyznę w łachmanach stojącego przy restauracji. Niewidoczny dla innych. On również był Paryżaninem. Idealnym dzieckiem, urodzonym w rajskim mieście. I choć jego Paryż znacznie różnił się od innych miast, to jego oddech synchronizował się z tą samą *melodią*. Jej *melodią*.

Bóg kochał Paryż, dlatego tak bardzo o niego dbał. Nie chciał, aby ulubiony zakątek na ziemi był splamiony hańbą. Krzywe spojrzenia, pełne pogardy i niechęci do wyrzutek, wynosiły miasto ponad wszystko. Paryż przecież był litościwy, szczególnie dla tych, którzy nieświadomie krzywdzili najbardziej.

I pojawiała się nagle na ulicy. Wyglądała pięknie, a może obrzydliwie. Mieniła się złotem. Czasami otulał ją całun rozpacz. Pachniała słodko, lecz może to był odór gnijącego ciała. Wtedy usłyszałam ją dokładnie.

Melodie, którą do tej pory lekceważyłam.

Przypomniałam sobie, że dawno nie kontaktowałam się z mamą. W wieku sześciu lat wygrałam szkolny konkurs na najlepsze przebranie. Obiecałam

przyjaciółce, że w końcu zrobimy sobie babski wieczór. Chłopak, z którym pierwszy raz się całowałam, okazał się człowiekiem niegodnym jej uczuć.

Lista wspomnień miała parszywy smak. Było ich tak dużo, ale wciąż za mało.

Zamarłam, widząc beztroskie miny ludzi, którzy przechodzili obok mnie. Dobijała mnie piękna pogoda. Świeciło słońce, temperatura była dość wysoka. Na niebie nie było żadnej chmury. Przeklęty ideał. Przeklęty Paryż.

Ten Paryż, który uzależnił od monottonnych dni, płaczu i żalu. Nieszczęśliwych wyznań, potoku łez. A jednak wciąż go pragnęłam!

Niestety, Ona była tak blisko mnie. Kroczyła krwawą ścieżką, która krzyżowała się z moją.

Tylko niektórzy zaczęli tańczyć ze Śmiercią na środku ulicy. A ja wraz z nimi. Niczym marionetki powtarzaliśmy jej ruchy ze zmęczeniem wypisanym na twarzy. Nie mogłam przestać, choć w płucach rozpałił się okropny ból. Śmierć się bawiła wybornie. To był Jej bal.

Ludzie bez sznurków wokół rąk i nóg odsuwali się od nas. Patrzyli z nienawiścią, przerażeniem. Nie słyszeli tej *melodii*, choć kroczyli po czerwonej ulicy. Jeszcze nie.

Raz, dwa, trzy, Raz, dwa, trzy...

Ale przecież mój Paryż miał być niezniszczalny!

Czułam, że moje serce gna do jednego miejsca, które wydawało się odporne na Jej wołanie. Mój chód przyśpieszył z czasem, jakbym uciekała przed czymś, co czyhało za moimi plecami. Głupie wrażenie nie opuszczało mnie dopóty, dopóki dłońmi nie dotknęłam ogromnych drzwi. Odetchnęłam z ulgą, czując słodki spokój wypełniający moje płuca. Mimowolnie uśmiechnęłam się. Katedra Notre-Dame. Wydawała się inna niż Paryż, choć wyglądem wypełniała jego braki w historii.

I choć katedra wydawała się blisko, choć poczułam chropowaty materiał drzwi prowadzących do jej bezpiecznego wnętrza, nigdy tam nie dotarłam. Było za późno.

– rozdział 3 –

Wieczór

Może zabiły dzwony katedry Notre-Dame, które pobudziły ptaki do lotu, które przerażone wniosły się w powietrze. A może to wciąż był ten sam dźwięk *melodii*.

Słońce zaszło. Cień pokrył ziemię.

Bo świat się buntował.

Paryż milczał.

Miasto tonęło w mroku.

W głuchej ciszy zatęskniłam za jakimkolwiek towarzystwem, żeby nie czuć się pustą i wypraną z emocji.

Wszyscy, których kochałam, odeszli. Moi przyjaciele odwrócili się ode mnie. Świat oszalał, bo mój Paryż stał się czerwony. To w nim brzmiała ta *melodia*.

Chciałam błądzić po Paryżu, gdy po raz kolejny Śmierć upomniała się o mój oddech. Symfonia strachu, rozpacz i niewypowiedzianych słów brzmiała tak głośno.

Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy...

Tym razem dopadła mnie.

– rozdział 4 –

Noc

A śmiech nadal trwał. Coraz głośniejszy, zawisł nad Paryżem wraz z blaskiem księżycy. Zamieszał się z melodyjką mojego żalosego płaczu. Ból stał się nieznośny. Rozrywał klatkę piersiową.

Miasto powitało noc, jakby dzień został wymazany z kart historii.

Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy... CZTERY.

Śmierć już tu była.

– epilog –

– Bonjour mademoiselle – przywitała się nienagannym francuskim, kłaniając mi się lekko.

Jej głęboko głos zabrzmiał w uszach niczym dzwony w katedrze Notre-Dame. Był mocny, a zarazem słodki, jak szept kochanka o północy.

Chciałam jej opowiedzieć o moim życiu, ale Ona prychnęła znudzona.

– Nieszczęśliwa historia jak wiele innych.

Już miałam tłumaczyć Jej, że w mojej książce zostało jeszcze kilkanaście białych kartek.

– O tak! One już takie pozostaną.

Pląkałam, mówiąc Jej o swoich marzeniach.

– Jest tysiące powodów, aby istnieć w Paryżu, ale żaden tych nie jest właściwy. Trudno!

Była nieubłagalna.

I choć żyłam Paryżem, Śmierć kroczyła za mną, nie bałam się, dopóki nie stanęła na mojej drodze.

Kroczyłam ulicą anonimowych trupów, wierzących, że kolejny dzień wkrótce się zacznie.

Ta ulica krwawiła każdego dnia. Stała się pułapką. Bo każdego dnia coraz więcej marionetek zaczęło tańczyć ze Śmiercią, a ludzie zbyt późno zrozumieli, że nie mogą złapać tchu.

Bo w Paryżu coraz gorzej się oddychało.

Oddech tkwił w płucach. Śmierć kołysała do snu.

Tym razem melodia miała inny dźwięk.

Cztery. Cztery. Cztery... CZTERY.

A z mojego Paryża zostały osamotnione ruiny.

Paulina Greń

Balladyna

Różniło nas absolutnie wszystko. Kolor skóry, bo matka dała dupy na wakacjach w Kenii. Charakter, bo Róża wdała się w plemiennego ojca, a ja w dystyngowanego ojczulka z Francji, który wyrwał matkę na erasmusie w dziewięćdziesiątym piątym. Różniłyśmy się też poczuciem estetyki, bo ja zawsze ceniłam sobie porządek, podczas gdy Róża prawie zawsze zostawiała stare majtki po środku łazienki. Różniłyśmy się stylem, bo ja prawie nigdy nie zakładałam spodni, a Róża za to nigdy sukienki na sobie nie miała. Generalnie różnic było wiele, były one rażące i przeszkadzały wszystkim tym, którzy brali udział w naszym życiowym przedstawieniu.

Byłam starsza od Róży o cały rok, bo nasza matka lubiła podróżować, a najbardziej w podróżach to kochała mężczyzn. Co tam dla niej jakieś magnesy na lodówkę, czy pocztówki, ona zawsze musiała przebić wszystkich, więc jako pamiątki przywoziła sobie dzieci zrobione przez tubylców w swoim rozpalonym łonie. Cała wioska jej za to nienawidziła, bo krążyła opinia, że za rzeką mieszka dziwka, co każdemu da, tylko nie Polakowi. Dlatego nasza wspaniałomyślna matka wpadła na pomysł, żeby przeprowadzić się do Niemiec, z dwójką dzieci z czego jedno wyglądało jak milky way. No, ale po sześciu latach jej german dream wziął w łeb i wróciliśmy do wioski, a tam jak się okazało, cała nasza trójka przestała szokować, bo nasza szanowna mamusia rozpoczęła modę na dzieci mieszane. Z tego wszystkiego chodziłam do podstawówki z prawie Mongolką, prawie Meksykanką i prawie Włochem. Sycylińczykiem dokładnie. No, ale matka jak to matka, nie zagrzała tam długo miejsca i gdy miałam jedenaście lat przeniosłyśmy się do Wrocławia. Bezpiecznie, bo w Polsce, a wystarczająco daleko, żeby nie wracać już do tej pojebanej wioski.

Wrocław wielkie miasto, żyje dniem i nocą, to musiałyśmy pokazać klasę. Ledwo starczało na prąd, ale chodziłam w oryginalnych vansach, bo co my wsiury

jakie, że nas na buty nie stać? Ja zaczęłam grać na wiolonczeli, Róża grała w siatkówkę i wszystko szło dobrze, tylko mama... tym razem to pamiątka sama przyjechała, z samych Czech, przyjechał, niski i łysy, zrobił co miał zrobić i pojechał dalej w interesach, bo Wrocław to tylko przejazdem robił jak do Gdańska jechał. Typ zniknął, a bobas tak ohydny wyszedł, że zgodnie z matką stwierdziłyśmy, że do Czech to my już nigdy nie pojedziemy, bo pamiątki stamtąd wychodzą chujowe.

Razem z Różą rosłyśmy antagonistycznie, ale była jedna jedyna rzecz, która nas zespałała, nasza nic nieznacząca cecha wspólna. Jedzenie malin. Niech to wybrzmi jeszcze raz - jedzenie kurwa malin. Zajadałyśmy się nimi całe lato u naszej babci, która je pieczołowicie zbierała z ogródka i dawała w każdej możliwej postaci. Dzięki temu miałyśmy wysoką odporność, ogrom witaminy C w krwiobiegu i punkt styczny, który był też doskonałym punktem zapalnym do rozmów. Każda z nas miała na tyle ciężki charakter, że jak na coś się upierałyśmy, to na amen. I gdy podrosłyśmy już na tyle, że na święta dostawałyśmy prezerwatywy zamiast żelek, pojawił się problem natury etycznej. Czy wypada odbić siostrze chłopaka ?

Historia była oczywiście bardzo zawiła i skomplikowana. Róża poznała go na kursie maturalnym z matmy. Był wysoki, miał blond włosy, takie trochę stylizowane na surferskie fale, ale tylko trochę, bo w końcu mieszkaliśmy we Wrocławiu. Miał przenikliwe brązowe oczy, ciężko było poznać, czy jest zadowolony czy tylko udaje. Przez kurs dorabiał sobie do czynszu, bo jako biedny student ledwo starczało mu na piątkowe browary. Chodziliśmy do tego samego liceum, ale wtedy nawet nie był w moim kręgu zainteresowań, bo miał ogromne przyszcze na czole, po których teraz nie było nawet najmniejszego śladu. Gdy coś tłumaczył, to wykręcał palce u dłoni, tak jakby skromność hamowała go i jego erudycję przed nagłym wypłynięciem na zewnątrz. Miał piękny uśmiech i to właśnie ten uśmiech mnie tak rozbierał i rozczulał. Miłosz był typem wrażliwca, ale takiego męskiego, a nie takiej cioty, co nawet ramki na zdjęcia mi nie zawiesi.

Róża od samego początku traktowała to jako przygodę, w głowie jej się przewracało od tej pełnoletności i myślała, że już wie wszystko o życiu. Traktowała Miłosza jako zabawkę, którą może się chwalić przed znajomymi. Zaspokajała na nim swoje wszystkie chciece, zostawiając na jego szyi (o ironio) krwisto czerwone malinki. Z matmy wiedziała tyle co nic, ale jak Miłosz jej

oferował rozwiązywanie zadań w sobotę, to wołała z nim iść na basen, żeby zrobić milion zdjęć jego tyłka w obleśnie obcistych kąpielówkach. Miłosz zaspokajał ją, jako kobieta - miała seks, miała renomę i prezenty z okazji miesięcznic. Czy Miłosz był zadowolony z takiego układu? Chyba nie, skoro po dwóch tygodniach od rozstania z Różą przeleciał mnie w łazience na dworcu.

Rozstanie Miłosza i Róży było hucznym wydarzeniem i było całkiem logicznie rozplanowane w czasie. Zaczęło się od tego, że przestali ze sobą sypiać, dla Róży to było cios w samą waginę, która regularnie domagała się bodźców i co piątkowych atrakcji. Potem coraz mniej ze sobą spędzali czasu, tylko przelotne spotkania na imprezach u znajomych i tanie smsy pisane pod wpływem. Aż w końcu Róża powiedziała, że pierdoli to wszystko, że ona ma w dupie maturę i że ona sama się świetnie przygotowuje. Więc Miłosz miał o jednego ucznia na kursie mniej i na nowo mógł rozpocząć życie wielkowiejskiego singla. Chociaż długo ono nie potrwało, bo na horyzoncie pojawiłam się ja...

To był straszliwie cholerny dzień. Rano poszło mi oczko w rajstopach, spaliłam tosty i zapomniałam zatankować samochód, więc do centrum musiałam dreptać na pieszo. Z nieba siało jakby ciepłą zupą, włosy od wilgoci zaczęły mi się puszyć, a przez to, że musiałam szybko iść, spościłam się i śmierdziałam zatęchłym potem. Gdy dotarłam już cała zziębnięta na uczelnię, okazało się, że przyszłam o dwie godziny za wcześnie, bo wykładowcy rodził się pierworodny i zajęcia były odwołane. Więc z całej tej niemocy stwierdziłam, że nie ma co się mazać się jeszcze gorszy, więc wzięłam podwójne espresso na wynos i poszłam doco, że ja to już totalnie pierdolę i idę na porządną kawę. Ten dzień nie mógł okazać się jeszcze gorszy, więc wzięłam espresso na wynos i poszłam do parku. Chodziłam bezcelowo i tępo wpatrywałam się w matki, które nie potrafiły upilnować swoich kapryśnych bachorów, w wiewiórki, które naiwnie myślały, że niezauważenie czmychną na sąsiednie drzewo i w żuli, którzy ze stoickim spokojem opróżniali czwartą małpkę z kolei. I tak byłam w tym parku dopóki nie zaczęło się robić ciemno. Wtedy zebrałam całe swoje jestestwo i pokracznym krokiem doczłapałam się do dworca. Na peronie jak to na peronie, tłoczno, gęsto i brudno. W powietrzu kłębiła się irytacja, bo pociąg spóźniał się już pół godziny. I gdy odwracałam się w lewą stronę, żeby wyrzucić papierek po gumie do żucia, zauważyłam go. Stał oparty o słup i patrzył się w moją stronę. Nie wiem jak długo już tam stał, nie wiem po co to robił i nie miałam pojęcia, jak powinnam się teraz

zachować. Na szczęście Miłosz przejął inicjatywę i podszedł pierwszy, śmiałym i pewnym krokiem zbliżał się do mnie, a im bliżej mnie był, tym więcej dygotek przebiegało po moim kręgosłupie.

– Cześć Iga! Dawno się nie widzieliśmy – powiedział to tak, jakbyśmy byli starymi kumplami, którzy przez przypadek na siebie wpadają po latach długiej przyjaźni.

– Cześć! – wyszeptałam speszona przez zaciśnięte zęby. Nie wiedziałam o czym mam z nim rozmawiać, dlaczego on w ogóle do mnie podszedł i co mam zrobić z faktem, że strasznie chce mi się kichnąć, ale nie chcę tego zrobić przy nim.

– Co porabiasz? Co u Róży? – i tu był pies pogrzebany. Wiedziałam, że tu musi być jakiś podstęp. Swoją drogą strasznie to słabe, pytać się o swoją byłą jej siostry.

– No, u Róży jak to u Róży, od piątku do piątku, znasz ją – odpowiedziałam najspokojniej jak tylko potrafiłam, starając się umiejętnie ukryć mój wysoki poziom zażenowania.

– No, ta – zaśmiał się nerwowo i zaczął wędrować wzrokiem dookoła. – Słuchaj, musimy się raz spotkać i powspominać liceum, co ty na to? – nie wiem czy to pytanie to grzecznościowe było, czy raczej jedno z tych retorycznych.

– Tak, super, w sumie nic do zrobienia już dzisiaj nie mam – odpowiedziałam bardzo szybko, za szybko i nie mam pojęcia dlaczego tak szybko. Miłosz spojrział się na mnie rozbawiony i znowu lekko się zaśmiał, a może parsknął nawet?

– Myślałem o sobocie, ale w sumie, jeśli masz ochotę, to zapraszam na orzechówkę do baru na rogu ulicy – przekrzywił lekko głowę, jak pies, który czeka na dalsze polecenia.

W barze było mgliście. Mgliście, bo nie było tam osoby, która nie paliłaby papierosa, albo czegoś, co wydzielało chmury dymu. Mgliście, bo jak przez mgłę szła nasza rozmowa z Miłoszem. I mgliście, bo ta orzechówka na pusty żołądek mocno weszła i już po dziesięciu minutach miałam chwiejny stan. Ale dzięki temu stres opadł, śmiałam się w głos i tak super przy tym odchylałam głowę do tyłu, zupełnie jak te wszystkie laski w filmach. Miłosz chyba też miał chwiejny stan, bo łapał mnie za nadgarstek za każdy razem, jak się śmiałam. Czułam się błogo, mimo iż wybiegłam daleko za moją strefę komfortu. Dochodziła dwunasta, a ja zamiast oglądać netflixa pod kocem, to siedziałam z byłym mojej siostry

w jakimś obscurnym barze i byłam narąbana jak stado imadeł. Ale kompletnie mi to nie przeszkadzało. To tak, jakbym przez jakiś czas mogła żyć życiem, którym zawsze chciałam żyć, które tak podziwiałam w książkach i którego zawsze szukałam w filmach. Aż w końcu postanowiłam wstać w celu założenia płaszcza. Niestety grawitacja mnie zawiodła, zakołysałam się i poleciałam jak długa na bar. W ostatniej chwili Miłosz chwycił mnie za nadgarstek tak, że stanęłam do pionu. W tym samym momencie on sam wstał i gdy odwracałam głowę w kierunku drzwi, nasze usta zetknęły się i przyssały jak pijawki.

Przysięgam, że kompletnie nie wiedziałam co się dzieje. Reakcje jakby były spowolnione, ale wszystko stało się tak szybko. Miłosz jednym ruchem wziął mój płaszcz z krzesła i popchnął mnie w kierunku łazienki. Jego pasek nie był oporny, moja biała koszula też nie protestowała, a spódniczka zsunęła się praktycznie sama. To było jak policzenie do trzech, w takich falach, czasem dłuższych, czasem krótszych, w każdym bądź razie, całość skończyła się szybciej niż chciałam. Widocznie Miłosz był krótkodystansowcem. A ja widocznie byłam bardzo niewyżyta, skoro dałam się przelecieć typowi z liceum, który jeszcze dwa tygodnie temu robił to z moją młodszą siostrą.

Myślałam, że Miłosz to jeden z tych, co przelecą w chwili słabości, potem ze wstydu już się nigdy więcej nie odezwą i słuch po nim zaginie na zawsze. Ale Miłosz jednak okazał się tym w miarę porządnym facetem. Zaczęliśmy się spotykać, wychodziliśmy na te wszystkie cliche kolacje przy świecach i na te nudne komedie romantyczne do kina. Nikt o nas nie wiedział, więc sekretu trzeba było pilnować, ale nie było to jakoś szczególnie trudne, bo chyba sam Bóg nie przewidział takiej kombinacji. Wszystko układało się w miarę pomyślnie, powoli zaczynałam żyć rolą księżniczki z disneya, a moje życie erotyczne w końcu było współmierne z moimi oczekiwaniami. Aż w końcu nadszedł sądny dzień prawdy. Młody został na noc u jakiegoś kolegi z przedszkola, a babcia potrzebowała pomocy w wekowaniu konfitur z malin. Zapakowałyśmy się we trzy i pojechałyśmy tak pięknie naiwne nie wiedząc jaką puszkę Pandory tam otworzymy.

Cała zabawa zaczęła się jak babcia na samym wejściu poczęstowała nas malinami ze śmietaną. Róża zaczęła się krzywić i jak opętana odpychała od siebie miseczkę, a ja jak na złamanie karku pobiegłam do łazienki zwrócić obiad. To, że mi się spóźniał trzy tygodnie, to wiedziałam, aplikacja w telefonie przypominała mi to osiem razy dziennie. Ale to, że Róża chyba też ma jakieś

opóźnienia, to było niespodzianką dla wszystkich, tym bardziej, że te opóźnienia to już trzeci miesiąc trwają. No i się zaczęło masowe odpytywanie. Kiedy, z kim i ile razy. Ile razy doszłam, ile razy z gumką, a ile tylko na tabletkach. I wtedy wyszło szydło z worka. Róża od zerwania z Miłozsem nie spała z żadnym innym facetem. Czyli jeśli wpadła, to z Miłozsem. I w tym momencie ja też musiałam się przyznać, że jak wpadłam, to z Miłozsem. I wtedy kompletnie nieistotne stały się ciążę.

Róża rzuciła się na mnie z tymi swoimi przedłużanymi pazurami i darła się, jakbym jej chłopaka odbiła, a przecież oni już od dwóch tygodni nie byli wtedy razem. Zaczęła coś pieprzyć o kodeksie siostrzanym, o pieprzonej moralności i odpowiedzialności karnej za cudzołóstwo. Matka się za głowę łapała, ta co faktycznie była najlepszym przykładem niepokalanego poczęcia. Ja to jeszcze jak ja, ale jak Róża do matury z brzuchem będzie podchodzić, to dopiero zbruka jej opinię matki roku. A babcia jak to babcia, śmiała się z tego wszystkiego, bo tam u niej na wojnie, to nie takie rzeczy się działy. Najstraszniejsze było to, że mnie było wszystko jedno. Byłam zła sama na siebie, że dałam dupy w łazience na dworcu, że dopiero zaczęłam studia, a już miałabym iść na macierzyński i że tak naprawdę to ja wcale nie jestem jeszcze dorosła, a dzieci nie mogą mieć dzieci.

Bolało mnie wszystko. Całe życie płynęło gdzieś obok, a ja byłam skoncentrowana tylko na dwóch różowych paskach. Tempo było szybkie, a jednocześnie czułam, jakby mijały wieki. Byłam przytłoczona odpowiedzialnością, która na mnie nagle spadła. Narodziny dziecka to zapewne cudowny czas, a sama ciąża to taki boski stan, kiedy kobieta tyje, ale jednak wygląda tylko lepiej i lepiej. To nie miało tak być. Pierwszy raz to strach, a nie zegar odmierzał mi czas. W dołku kłuła mnie potężna panika, że nie ja wcale nie chcę być matką i nigdy nią być nie chciałam. Nigdy nie chciałam też wychodzić za mąż, bo znaleźć wiernego męża, to zjawisko graniczące z cudem, realne tylko dla pruderyjnych dziewczyn z przedmieść. A teraz tak nagle miałam nosić w sobie dziecko typu, którego tak naprawdę nie znałam. Wiedziałam, że ogarnia matkę, że lubi ciemne piwo i że lubi moje ciasteczka owsiane z orzechami. Ale nie wiedziałam co go boli, gdy płacze co noc, nie wiedziałam co mu się śni, gdy budzi się o trzeciej nad ranem cały spocony, nie wiedziałam co tak naprawdę czuje, gdy mnie widzi i tak cicho mruczy na mój dotyk. Mogłam się tylko domyślać, ale sam Miłoz

w życiu mi tego nie powie, bo oboje nie traktujemy tego poważnie. Za to teraz zrobiło się tak poważnie, że w domu babci panowała złowieszcza, grobowa cisza, jakby coś przepowiadała, tylko bała się, że nas tym skrzywdzi...

Róży test był negatywny. Szybko doszła do siebie, udawała, że w ogóle jej to nie rusza, że ma to gdzieś, czy ja z Miłozsem jestem, czy tylko razem sypiamy. Wiem, że to był dla niej cios w samo serce, wiem, że potem pewnie płakała kilka tygodni w poduszkę i wiem, że już do końca życia będzie się bała zdrady. Ale Róża właśnie taka była, miała w sobie miliony kolców, ale jej płatki były kruche i delikatne, za delikatne jak na taką siostrę jak ja. Sprawa odbicia chłopaka szybko ucichła, nie wrócimy do niej pewnie aż do emerytury.

Mój test okazał się pozytywny. Ale dziecka też nie mam. Poroniłam w czwartym miesiącu ciąży, tuż po śpiewająco zdanej sesji. Wtedy pierwszy raz inny strach mi odmierzał czas, nie zegar, strach o życie. O życie dziecka, które od początku było niechciane, ale było kochane do ostatniej sekundy mikro oddechu, które echem rozbija się we mnie do dziś...

Olivia Lejman

Strach. Opowieść Orfeusza

Zima. Powiedziałbym, że jest to wieczór, jednakże wciąż doskwiera mi nijakie światło. Światło, które nie daje nadziei. Jest bezwartościowe. Znikomy wiatr tylko muska moje lekko siwe włosy, a bezlistne wierzby kołyszą się doń na boki, jakby utknęły w wiecznej pętli tańca pozbawionego jakichkolwiek pozytywnych emocji. Siedzę na ławce, spalam papierosa i dochodzę do wniosku, że sam również znajduję się w tej pętli. Jednakże ja nie tańczę. Ja po prostu upadłem, a w tym przypadku dane jest mi tylko podziwiać tancerzy zza kurtyny. Odgrywam bezkrwistą rolę w tym całym przedstawieniu, którym jest ten jakże marny świat. Jednak te wszystkie kruki, które zasiadają na gałęziach, to tak zwana rodzina dająca wsparcie występującym. Wieczna widownia, głośnie oklaski. To wyjaśnia właśnie, skąd te wierzby mają tyle energii na tak zjawiskowe ruchy. Ja nie mam widowni, toteż potrafię jedynie beczynnym siedzieć na ławce i komentować w myślach wszystko to, co mnie otacza. Odwagi mi brakuje na przemówienia. Nie mam kibiców, niczego nie mam. Mój czas już dawno się zatrzymał, ale wciąż siwieję, co wydawać się może absurdem. Kiedy spoglądałem w lustro, ciekawe myśli mi przychodziły do głowy: „A co jak to stres?”. Dumałem i dumałem, ale lata swoje też mam. Nigdy nie odrzuciłem tej opcji, jednak teraz i tak każde moje zmartwienie odeszło. Odeszło, jak ten tymczasowy powiew, jak te kruki z gałęzi czy wszystko inne, co by mnie jeszcze chciało do życia zachęcić. Kiedy to właśnie mój ostatni papieros się wypalił, naszły mnie melancholijne wspomnienia, a wraz z nimi udało mi się ujrzeć kilka płatków śniegu, spadających z nieba. One też tańczą, ale ich sztuka poruszy każdego, kogo dotkną. Tak się składa, że kiedy jedna śnieżynka upadła mi na dłoń, moje wszystkie wspomnienia uderzyły z ogromną siłą, a ja, jako przegrany, obronić się przed nimi nie mogłem...

To był początek wiosny. Wyszedłem wtedy na balkon, aby sprawdzić, czy nikt nie zastawił mi samochodu. Poranki na balkonie były jak dar od bogów.

Delikatne promienie słońca, ciepła kawa, a popielniczka nigdy nie była użyta. No i ona, moja wspaniała żona, Annika.

Jej uśmiech w zupełności wystarczył, aby dzień stał się cudowny. Niczego do szczęścia nie potrzebowałem. Siedziała ze mną, odziana w swój błękitny szlafrok, a jej długie blond włosy zawsze miała spięte w luźny warkocz. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy, jak przy niej.

– Gavrill, nie wolałbyś wypić herbaty? Jakże nudna jest ta czarna kawa, serca mi twojego szkoda – powtarzała dość często.

Miała rację. Zawsze miała. Ta kawa nie działała, jak powinna. Zamiast odczuwać przyrost energii, wiedziałem, że zatracam się bardziej w uzależnieniu od kofeiny. Jednak świat z Anniką nie był nudny. Wspólnie się śmialiśmy każdego poranka, a jej towarzystwo było najlepszym lekiem na każde zmartwienie. I to właśnie dzięki mojej żonie te poranki na balkonie były cennym darem. Bez niej ten balkon byłby tylko balkonem, a popielniczka, mogłaby być wiecznie wypełniona. Mieliśmy wtedy jeszcze stare mieszkanie, z którym były dość spore problemy. Często padało ogrzewanie, a sąsiedzi z roku na rok stawali się coraz głośniejsi i bardziej natarchywi. Dlatego ja, jako iż byłem „bohaterem domu”, znalazłem nam kamienicę, w której nasze życie zmieniłoby się o sto osiemdziesiąt stopni. Bez zawahania się podjęliśmy decyzję o kupnie i kilka dni później rozpoczęliśmy przeprowadzkę. Spanie na kartonach i jednym, trochę zniszczonym materacu, było dla nas wyzwaniem, gdyż nie mieliśmy zamiaru wracać do naszego poprzedniego mieszkania i wysłuchiwać skarg byłych już sąsiadów. Tak tworzyły się właśnie wspólne i piękne wspomnienia, za które nie wymieniłbym niczego.

Naszym ulubionym jednak zajęciem było dekorowanie jednego, bardzo ważnego pokoju.

Otóż moja urodziwa żona była w ciąży. Mieliśmy mieć córkę, a ja jako świeżo upieczony ojciec dokonywałem wszelkich starań, aby ona czuła się dobrze, czy żeby nie miała problemów w funkcjonowaniu. Można uznać, że spełniałem każdą jej zachciankę.

I tak właśnie mijały nam miesiące, aż w końcu kartony zniknęły, a my mogliśmy pozwolić sobie na spanie w normalnych warunkach. Ciepło, które nas otaczało, nie pochodziło z ogrzewania, ale miało swoje źródło w Annice. Tak jak

ja byłem wiecznie zimny, tak ona sprawiała, że topniałem. Pokoik córki również był skończony. My, jako dumni rodzice tylko czekaliśmy na ten wielki dzień. Wspólne kupowanie ubranek dziecięcych, zabawek, nawet małych miseczek dla dziecka! Nachodziliśmy się, ale żadne z nas nie narzekało. Każdy taki dzień świętowaliśmy wspólnym tańcem na tarasie, który został przeze mnie oświetlony lampionami. Tych chwil nigdy nie zapomnę. Kojący dotyk kochanej osoby przy mojej skórze, czułem się bezpiecznie. Czułem się kochany i potrzebny jak nigdy przedtem. Nie mam słów, aby móc opisać jak szczęśliwy byłem w tych chwilach. Jedyne co pragnę powiedzieć to: „Kocham cię, moja żono, kwiecie mój najpiękniejszy, roztopiający promieniu słońca, najcenniejszy ze skarbów tego świata”, ale nigdy tego nie powiedziałem.

Dla takich chwil chętniej rano wstawałem, aby móc zrobić wykwintne śniadanie dla naszego duetu, które niebawem przemieni się we wspaniałe trio. Jedzenie do łóżka, czytanie w nim porannych gazet i słuchanie radia było bardziej uzależniające od tej czarnej kawy, którą swoją drogą pozostawiłem wraz ze starym mieszkaniem. Zapomnieć nie da się również chwil, w których mogłem poczuć kopnięcia własnego dziecka. Jako dorosły człowiek, z każdym takim delikatnym uderzeniem, cieszyłem się jak mały szkrab, który właśnie otrzymuje od matki słodycze, lub jak ktoś, kto wygrał na loterii. Prawdę mówiąc, ja wygrałem na tej loterii, ale nie zdobyłem pieniędzy, a szczęście, którego potrzebowałem całe życie. Nie miałem w nim łatwo.

Nigdy jednak nie myślałem, że kiedykolwiek doznam czegokolwiek innego niż pustka, z którą żyłem od dzieciństwa. Pustka, która mnie kiedyś wypełniała, momentami była przydatna. Wiadomo, nie przeżywałem niektórych wydarzeń jak większość osób. Miłość była tematem, którego nie byłem w stanie pojąć. To jak inni płakali poprzez odrzucenie, jak się kłócili w związkach, było mi całkowicie obojętne. Nie pragnąłem takiego uczucia, bo byłem przekonany, że do niczego dobrego mnie to nie doprowadzi. Cóż, tę pustkę wypełniła osoba, na którą natrafiłem całkiem przypadkowo.

Kiedy zobaczyłem Annikę pierwszy raz, od razu poczułem od niej to ciepło. Cieszy mnie fakt, iż pomimo tak ciężkiej drogi w poznawaniu jakichkolwiek uczuć, skończyło się na tym, że słucham bicia jej serca. Nie ma piękniejszej muzyki dla mych uszu. Oby to ona nigdy nie przestała grać. Uwiecznialiśmy też wiele chwil, robiąc sobie wspólne zdjęcia aparatem, który swoją drogą uległ

zniszczeniu przez jedną z sesji podczas ulewy. Kto by pomyślał, że moje buty okażą się tak niezdolne do pracy na śliskiej ulicy? Jednakże i tak dobrze się przy tym bawiliśmy. Budowanie wspomnień to rewelacyjne uczucie. Jednak nie wszystko, co piękne ma dobre zakończenie.

Pewnego poranka, Annika obudziła się z niewyobrażalnymi bólami. Wiedziałem, że jestem bezsilny, a kajdany przykuwały mnie do jej wijącego się z cierpienia ciała. Zamarłem. Ona krzyczała, wołała o pomoc. Ja nic nie zrobiłem. Strach mnie paraliżował od najmniejszych palców u stóp po uda, dłonie, ręce i mowę. Obezwładnił mnie całkowicie. Usłyszawszy swe imię po raz piąty, pobiegłem w końcu po telefon i wezwałem pogotowie. Do momentu przyjazdu karetki, starałem się być przy niej i pomóc. Tak jak wcześniej irytowały mnie dźwięki syren, tak teraz tylko ich wyczekiwałem. Wyczekiwałem ich jak zmartwychwstania Boga, jak narodzin własnego dziecka. I stało się. Przyjechali, ale ja musiałem jechać za nimi samochodem...

Nie sądziłem, że stanę się ojcem tak szybko. Po dotarciu do szpitala nadal oszołomiony zapytałem o salę, w której obecnie znajduje się Annika. Od razu pognałem we wskazane miejsce z uśmiechem na twarzy, ale kiedy dotarłem, nie słyszałem płaczu córki. Nic nie słyszałem. Ta cisza była ogłuszająca. Cisza, która wyżerała mnie od środka, która zasiała we mnie nasionko, a wyrwać się go już nie dało. Przyszedł lekarz. Zostałem zapytany o dane, odpowiedziałem. Odpowiadałem z tą nadzieją i błyskiem w oku, która przyświeca każdemu głęboko wierzącemu mężczyźnie, że z jego rodziną wszystko ok. Odpowiadałem nadal z pozytywnym nastawieniem. Kiedy oznajmiono mi, że moja żona urodziła, ucieszyłem się, jednak równocześnie zdziwiłem informacją o tak szybkim porodzie. Jedyne czego żałowałem to braku możliwości bycia przy niej w tej właśnie chwili. Z moich ust wydobywały się w kółko te same pytania: „Gdzie jest moja żona?”, a ja czułem, jak wszystko, co mnie otacza, mętnieje. Czułem coraz większy strach, jakby na stałe zagościł w moim sercu i powoli opanowywał kolejne me organy. Przez rozmowę z lekarzem bardziej się nasilił, a ja nie mogłem go już okiełznać. Mój wzrok zawiesił się na tak samo ponurej pielęgniarce, która opuszczała jeden pokój, co to całe miejsce. Nie powiedziała ona nic. Tylko ja nie byłem w stanie powstrzymać słów, które wręcz wylewały się z mych ust. Doktor jedynie spojrzał w moje oczy. Jego wzrok był pozbawiony jakichkolwiek emocji.

Był zimny, a ja poczułem nagły dreszcz na ciele. Otrzymałem odpowiedź na zniecierpliwione pytania. Poroniła. Moja żona poroniła!

Nic już nie mówiłem. Zamarłem, a szczęka mi opadła, nie byłem w stanie przetrwać tych wszystkich informacji. Nagle upadłem na kolana, a błądy stałem się, jak te przytłaczające, szpitalne ściany. Ostatecznie strach wbił mi strzałę w serce i odszedł, pozostawiając po sobie jedynie zgorzkniałe emocje. Mój umysł zalany był masą pytań, na które do dziś nie znam odpowiedzi. Udało mi się wstać i chwiejnym krokiem powędrowałem do pomieszczenia, w którym była Annika. Pozwolono mi się z nią zobaczyć, toteż kiedy stanąłem przy niej, jej blada cera, sine usta, obolale ciało i roztrzepane włosy sprawiły, że momentalnie moje oczy zalały się łzami. Te nasze wspólne chwile przeleciały mi przed oczami, nie byłem w stanie ich się pozbyć, a przez nie to wszystko bolało jeszcze bardziej. Upadłem na kolana ponownie i nie wierzyłem w to wszystko. Liczyłem, że okaże się to złym snem, koszmarem pożerającym umysł, złą drogą, pomyłką. Niestety, upadłem na ziemię i to dość mocno. Byłem przy niej cały ten czas. Nie zostawiałem jej na sekundę. Nie chciałem. Nie mogłem.

Po kilku dniach, kiedy ją wypisali ze szpitala, wróciliśmy do domu, ale nie do nowej kamienicy, a do tego starego, z irytującymi sąsiadami. Szczęściem było to, że akurat nasi „wrogowie” wyjechali na urlop. Może zwiastuje to właśnie nowy, a przede wszystkim dobry początek? O niczym innym marzyć już nie mogłem. Tak więc był to lepszy start. Pomijając fakt, że mieszkaliśmy znów w starym mieszkaniu, bo w nowym uderzają wspomnienia, które głównie wiążą się z dzieckiem, zmagaliśmy się z wieloma problemami. Annika głównie leżała w łóżku. Pograżyła się w depresji, a ja nie potrafiłem jej udzielić pomocy. Za każdym razem po ujrzeniu własnej postury w lustrze, widziałem tylko bezsilne ciało. Nigdy nie porównywałem własnego bólu do tego, jakiego odczuwała moja żona. Po prostu kładłem się za nią i obejmowałem od tyłu, aby czuła, że ja nadal jestem. Że serce, które ona poruszyła, bije nadal. Tym sposobem minęło kilka miesięcy. Razem chodziliśmy na terapie, ja pracowałem w domu, aby nie rozdzielać się z ukochaną. Z biegiem czasu było u nas coraz lepiej. Kupiłem nam rowery, więc wspólnie wybieraliśmy się na wspólne podróże po parkach czy miastach nocą. Czuliśmy się razem szczęśliwi. Do kamienicy nadal posiadaliśmy klucz, ale nie chcieliśmy tam, na razie wracać. Jedyne czego potrzebowaliśmy to samych siebie. Pomijając fakt, że jeździliśmy na tych rowerach, Annika

polubiła łąki. Tak więc chodziliśmy na nie wspólnie, aby móc rozłożyć czerwony koc i zjeść coś dobrego wśród gęstej trawy i śpiewów ptaków. Czuliśmy, że znów żyjemy. Niekiedy sam też wychodziłem. Były to głównie późne wieczory. Zawsze stawałem na środku oświetlonej i dość ruchomej ulicy i dumałem. Zdawało mi się, że dreszcz na plecach powoduje powiew wiatru, a gałęzie drzew kołyszają się na boki. Ciepło i miękkość trawy otulała mnie od stóp po czubek głowy, a ja sam chciałem się w niej zanurzyć i spędzić w niej cały swój marny żywot. Czułem się bezpiecznie, jakbym był otoczony stadem owiec, lecz brakowało jeno pasterza. Tylko czemu ten dreszcz przynosi świadomość, że nie jestem sam? Czemu ten wiatr, to tylko oddechy innych ludzi, a drzewa to zwyczajne lampy nocne, których rozległe gałęzie przeistaczają się w pomarańczowy i nie zawsze sprawny odcień lekkiego światła? Ta jakże przyjemna trawa przerobiła się w zimny i twardy beton, a kwiaty stały się wystającymi, a także podstępными kamieniami. Strumienie natomiast są już tylko zwykłą dziurą w drodze wypełnioną brudną wodą. Poczucie bezpieczeństwa zanika, ginie jak większość ludzi w tłumie. Milion spojrzeń w moją stronę, nic tylko iść przed siebie, ale nie chcę. Nie mogę, bowiem zanurzony jestem w tej jakże mylącej i gęstej trawie. Otaczają mnie owce, jednak niektóre tylko zgrywają pozory. Zdradzieckie zęby i pazury, chęć mordy i zniszczenia ukazują się tylko, kiedy się oddalę. Wiem, że jak skręcę, nie tam, gdzie trzeba, owca sprawi, że spirale i kwadraty będą ostatnią rzeczą, którą zobaczę w moim życiu. I stado tak chodzi, a w nim ukryte zło. Nie ma pasterza. Słyszę płacz dziecka, krzyk kobiety. Połączenie to wywołuje strach, który stopniowo się nasila. Zza rogu pod migającym światłem rozgrywa się sprzeczka, a ja idąc ślepo w ich stronę, jeszcze bardziej się gubię. Przyciąga mnie tajemnicza woń wydobywająca się z szeroko otwartych drzwi. Kusi pieśnią i barwą. Nozdrza paraliżuje odór trunków, a uszy obciążone są niezrozumiałym dla mnie językiem. Postawię krok, a paszcza się zamknie, pochłaniając me ciało bardziej niż ta trawa. Z tego miejsca już nie będzie odwrotu. Będę w nim stał, jak z kulą u nogi i to jest pewne. Jednak czemu nadal stoję na tym środku? Czemu wciąż się lękam? Pragnę pozostać tym, który nie ucieka przez krople deszczu, a śmieje się z tych, co strachem są przepelnieni. Ale ten strach już trafił we mnie swą strzałą. On po prostu zawsze przy mnie będzie, a to, że z żoną będę szczęśliwy, nic nie zmieni. Nadal czuję jej ból w być.

Z biegiem czasu przerwałem swoje wypadki na miasto, bo stan Anniki był jeszcze lepszy, dlatego ona pragnęła spędzać go jak najwięcej ze mną. Nie sprzeciwiałem się, ale po kryjomu zacząłem palić papierosy. Oczywiście, że to się wydało, gdyż ich woń jest wręcz wyczuwalna z dalekiej odległości. Przystałem więc i powróciłem do kofeiny. Z uzależnienia na uzależnienie, aż szkoda mówić cokolwiek. Czasami moja żona bywała bardzo osłabiona. Zaopatrzyliśmy się w odpowiednie leki, aby mogła normalnie funkcjonować i ograniczyliśmy nasze wycieczki rowerowe. Sąsiedzi wrócili już dawno, ale my nie przejmowaliśmy się ich gadaniem na nasz temat. Oczywiście, że nie podobało im się to jak zmieniamy mieszkanie i czasem nawet hałasujemy, ale oni sami nie widzą tego, jak głośni potrafią być. Cóż, przywykliśmy do tego. Po kilku zasłabnięciach Anniki uznaliśmy, że czekać nie możemy i od razu udaliśmy się do lekarza. Ja zniecierpliwiony czekałem cały czas. Zaciskając szczękę, czując mrowienie na twarzy. Wiedziałem, że strach powrócił, a nasilał się on jak wcześniej. Każda sekunda zamieniona w lęk odmierzała z większym bólem dla mnie. Im dłużej czekałem na wyniki, tym bardziej się bałem, a wiedziałem, że to do niczego dobrego nie prowadzi.

W końcu się dowiedziałem a dowiedziałem się czegoś tak samo bolesnego, jak poprzednio. Zapytałem w myślach Boga, co ja uczyniłem źle? Czemu spotyka mnie taki los? Również przeszła mi do głowy myśl, czemu pytam o to Boga? Nigdy w niego nie wierzyłem. Czy to właśnie tak działają szpitale? Kiedy człowiek kona w największej rozpacz i zgorszeniu, pyta się kogoś w kogo nawet nie wierzy o rady? Jestem przekonany, że nie tylko ja tak mam. Tak jak na co dzień o nim nie pamiętam, tak teraz mój umysł był przepelniony modlitwami o dobro dla mojej żony. Z jednej strony zdawałem sobie sprawę, że nic mi to nie da, jednakże nie mogłem tego uciszyć. Znów byłem bezsilny, nigdy nie przestawałem być. Annika ma guza, a tu nawet moje objęcia nie pomogą. Nie wyrzucą z jej organizmu tego zła, nawet gdybym mógł nim przesiąknąć.

Tak więc znów czekałem. Czekałem na to, aż będzie ona mogła opuścić te mury szpitalne. W domu sytuacja wyglądała jak wcześniej jak po pierwszej wizycie w szpitalu. Ten depresyjny stan utrzymywał się dość długo i zdawałem sobie z tego sprawę, że nie odejdzie tak szybko. Postanowiłem w wolnych chwilach tworzyć obrazy, a na nich uwieczniałem swoje odczucia, swoje przeżycia. Te malowidła były tylko dla nas, nikt inny ich zobaczyć nie mógł.

Annika proponowała mi ich sprzedaż, a ja przejeżdżając dłonią po płótnie odpowiedziałem, że historii tych ujęć nikt nie zdoła pojąć, bo tylko my odczuwamy ból z nimi związany. Za każdym razem na moje słowa, Annika odpowiadała uśmiechem. Dodam też, że nie miała ona już swoich pięknych blond włosów. Na głowie nosiła błękitną chustę, ale ja nadal dostrzegałem w niej piękno. Moje uczucia do niej nigdy się nie zmieniły i nie zmienią.

I tak znów minęły miesiące. Moja ukochana chodziła na terapie, na leczenia, a ja zawsze jej towarzyszyłem. Jej stan zdrowotny poprawił się, a ona czuła się szczęśliwa. Zaraziła mnie swym szczęściem, bo jednak zawsze miałem ją blisko siebie. Postanowiliśmy podróżować więcej. Odwiedziliśmy jej rodziców, wypoczywaliśmy w różnych hotelach. Starłem się robić wszystko, co w mojej mocy, aby jej uśmiech nigdy nie schodził z twarzy. Kiedy byliśmy w domu, ona często sama gdzieś wychodziła i za każdym razem mówiła, że niebawem się dowiem, co to za niespodzianka. Moje serce biło mocniej, a ja odczuwałem ciepło, jakiego dawno nie doznawałem. Mieliśmy też bardziej intymne chwile, z których na zawsze zapamiętam dotyk jej delikatnych ust na moich. Czułem się jak we śnie, z którego nie chcę się wybudzać. Niech on trwa wiecznie, jeśli życie poza nim to jeden wielki koszmar. Nasze serca były wspólnie, w tym samym rytmie. Ma ulubiona muzyka znów docierała do mych uszu, a z wieścią, że Annika wyzdrowieje i wygra z chorobą czułem się jeszcze lepiej. Razem nam się udało przez to przejść, a moja żona codziennie wykazywała się ogromną siłą i odwagą.

Z moich oczu poleciały łzy, ale były one spowodowane szczęściem. Kocham moją żonę i nigdy nie przestanę.

Po kilku tygodniach jej nagłe wyjścia z domu znacznie się nasiliły. Nie czułem zazdrości, a raczej ciekawość to było coś, co nie pozwalało mi momentami normalnie funkcjonować. Nie podejrzewałem jej o zdradę, o jakieś nielegalne spotkania, ale do głowy mi nie przychodziło, co ona mogła kombinować? Więc myślałem. Myślałem tak długo, aż dotarło do mnie, że w moim kubku do kawy jest tylko ciepłe mleko. No tak, razem ze złymi chwilami odeszło moje uzależnienie od kofeiny. Kajdany, które cały czas miałem na sobie, również zniknęły. Czułem się wolny, a jednocześnie odczuwałem chęci do krzyku. Krzyku radości ze zwycięstwa. Wieczorami ponowiliśmy tańce na naszym starym balkonie, a w wolnych chwilach, mimo hałasu i skarg sąsiadów, urządziliśmy sobie karaoke. Moje obrazy nie wyglądały tak smutno, jak wcześniej. Teraz

znacznie się różniły, ponieważ kwiaty, które rysowałem kwitły, a nie usychały. Kwitły jak każdy nasz wspólny dzień. Czuliśmy, że żyjemy na nowo. Że wyłoniliśmy się z popiołu i możemy cieszyć się sobą już na zawsze. Ja mogłem powrócić do normalnej pracy, a Annika zostawała sama w domu. Normalnie funkcjonowaliśmy.

Znów upłynęło kilka miesięcy. Nadszedł okres jesieni, z nią związane różne święta, które uwielbiamy. Nie ma nic lepszego niż wspólne przebieranie się w stroje z okazji święta strachów, zająkanie się słodkościami i oglądanie strasznych filmów. Chciałbym, aby było tak już zawsze. Kiedy powrócił tydzień ciężkiej pracy, a z nim okres świąteczny, codziennie wracałem do domu szczęśliwy, że ujrzę moją ukochaną. Każdego dnia witała mnie uśmiechem i przyrządzała mi ciepłą herbatę na odprężenie. Podczas pobytu w pracy z niecierpliwością czekałem na powrót do domu. Pewnego razu, nie zastałem w nim nikogo. Poczułem delikatny powiew we włosach. Był to strach, który znów mnie dopadł. Zaczęło się odliczanie. Zadzwoiłem do niej, jednak jedyne co usłyszałem to informacja o wyłączonym telefonie. Z nerwów chodziłem po całym mieszkaniu, dzwoniłem i pisałem do znajomych, do rodziny, nawet do sąsiadów zapukałem. Nikt niczego nie wiedział. Zapaliłem papierosa.

W momencie, w którym się wypalił, otrzymałem telefon. Dzwonili ze szpitala, mam się tam natychmiastowo zjawić. Kolejny raz zamarłem. Poczułem chłód, przegrywałem ten wyścig ze strachem. Wiedziałem, że zaraz coś złego się wydarzy, bo im bliżej tego szpitala byłem, tym bardziej byłem przerażony. Wbiegłem do środka. Kazano mi czekać na korytarzu. Wszedł lekarz, jeden, drugi. Byli jakby w pośpiechu. Z mych ust wydostawały się te same słowa, co wcześniej. Udało mi się ujrzeć ją przez szybę w drzwiach. Leżała podłączona do różnych urządzeń, a ja bez zawahania się, wszedłem do środka. Pamiętam do dziś jej spojrzenie w moją stronę. Nigdy nie była tak słaba, jak tego dnia. Uśmiechnęła się do mnie, ja podbiegłem, aby móc złapać ją za rękę. Jeden z lekarzy odciągnął mnie, skierował do drzwi. Płacz i wrywanie się na nic się nie zdało.

– Annika! Annika! – krzyczałem.

Byłem głoszny, a moje policzki stały się mokre. Kolejny raz nic nie mogłem zrobić. Podano mi środki uspokajające, ale nie czułem się ani trochę lepiej. Pustka, której dawno się pozbyłem, zaczęła na nowo mnie wypełniać. Siedziałem

tak na tym korytarzu przez całą noc. Cały czas błagając, aby ona mogła to przeżyć. Nad ranem zjawiała się pielęgniarka. Powiedziała, że mogę się zobaczyć z żoną, toteż od razu to uczyniłem. Annika spała, ja cicho podszedłem do jej łóżka i klęknałem przy niej. Delikatnie ująłem jej dłoń, nie mogła nią ruszyć. Otworzyła oczy i skierowała je w moją stronę.

– Dlaczego płaczesz, Gavrill? – zapytała cicho. – Dziękuję, że nie zostawiłeś mnie nigdy i mogłam spędzić tak pięknie moje ostatnie miesiące życia – dodała.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Najdroższa mi osoba umiera na moich oczach.

– Niestety, przegrałam, ale razem i tak wygramyśmy. Zawsze wygraliśmy, kochanie - mówiła załamującym się głosem. Nie przestawałem płakać, ona nie przestawała się uśmiechać. Nawet jeśli wiedziała, że to jej ostatnie minuty, nadal sprawiała, że odczuwałem od niej ciepło, pomimo tego, że jej skóra była chłodna.

– Proszę, pójdz do naszego nowego mieszkania. Poszukaj dobrze, zrób to dla mnie, Gavrill – po tych słowach zaczęła kaszleć. Lekarze znów mnie odciągnęli, zabrali z sali, a moją ukochaną usiłowali uratować. Znów czekałem, zapłakany, zdenerwowany. Byłem rozdrażniony faktem, że to wszystko zaraz może się skończyć, że ja mam te kajdany. Nic nie byłem w stanie zrobić. Po godzinach czekania nie mogłem już jej zobaczyć. Nie zdążyłem powiedzieć jej, jak bardzo ją kocham. Mimo iż czułem to w sercu, dopiero po takiej tragedii uświadomiłem sobie, jak rzadko jej mówiłem takie rzeczy. Nawet jeśli ona o tym wiedziała, to i tak winiłem siebie za bycie w ciszy.

...Minął miesiąc od pogrzebu. Jest nowy rok, a ja wciąż siedzę na tej ławce. Mój płaszcz wypełniony jest paczkami papierosów, kawa z dnia na dzień smakuje jeszcze gorzej, a ja tak jak dawniej nic nie czuję. Chcąc wyciągnąć nową paczkę, natrafiłem na klucz do nowego mieszkania. Przyjrzałem mu się z każdej strony i poczułem nagły ucisk w sercu. Musiałem tam pobiec, bo przez ten cały czas byłem tchórzem. Ciągle nim byłem, więc to nic nowego. Kiedy dotarłem na miejsce, nerwowo wszedłem do środka, rozglądając się po wszystkich kątach. Widziałem nasze wspólne chwile, jakby mi się film przed oczami włączył. No i był ten jeden pokój. Pokój naszej córki. Postanowiłem zajrzeć do niego i zobaczyłem w nim wiele nowości, nad którymi cały ten czas pracowała moja żona. Oczy me jednak zatrzymały się na czymś dość wyróżniającym. Była to

mała, sztuczna choinka, która stała tuż obok kołyski. Pod nią znajdował się malutki prezent, a na nim kartka. Na niej napisane było moje własne imię. Otworzyłem pudełko. W nim znajdował się pozytywny test ciąży, a z nim kolejny kawałek papieru. Moje ślepie stały się szklane. Przeczytałem ten liścik, a był on od Anniki: *„Drogi mężu, tak wiele Ci zawdzięczam. Pomimo choroby, nadal byłeś ze mną, ciągle dostarczałeś mi uśmiechu, nowych wrażeń i radości. Nikogo tak dobrego mieć przy sobie nie mogłam. Cieszę się, że mamy szansę na kolejne dziecko. Będzie to córeczka! Zawsze chciałeś taką mieć. Piękna dziewczynka, która ma wspaniałego i silnego tatusia, o którym każdy może śnić. Zawsze nas obronisz, zawsze staniesz po naszej stronie i nigdy nie zawiedziesz. Kocham cię, Gavrill i nigdy nie przestanę, a moja dusza na zawsze pozostanie przy tobie. A teraz wracaj do domu, bo czekam tu na ciebie z herbatą!”*

Upadłem na kolana. Zacząłem płakać, nie wiedziałem, że Annika była w ciąży. Krzychałem jej imię, a kiedy minęły godziny, otrząsałem się i powróciłem do mieszkania. Zastałem tam otwarte okno, przez które dostał się delikatny wiatr. Musnął on me policzki, jakby odgarniał mi łzy. W tej chwili niczego tak nie pragnąłem, jak obecności mojej ukochanej osoby. Położyłem się na łóżku i skuliłem, przytulając do siebie jej błękitny szlafrok. To była jedyna rzecz, którą mogłem teraz zrobić. Pozostałem ja i ubranie mojej żony przesiąknięte jej pięknym zapachem. Nie! Dostyc! Muszę zerwać te kajdany strachu, muszę wypowiedzieć wojnę prawu życia i śmierci. Niczym Orfeusz zejść tam, gdzie ludzki wzrok nie sięga i odnajdę swą ukochaną. Słyszysz Anniko?

Gdziekolwiek jesteś, a wiem, że jesteś Czekaj na mnie.

Julia Bieniek

Wybór

Długi korytarz oświetlany przez, mogłoby się здаwać, tysiące świateł rażących w oczy. Białe postaci przebiegają przez jasny hol, co chwilę zmieniając kierunek. Koła łóżek szpitalnych szurające po podłożu, uderzające o krzesła w poczekalni. I te dźwięki charakterystyczne dla respiratorów – maszyn, które, aż trudno uwierzyć, są jedyną szansą na przeżycie dla wielu pacjentów oddziału. Wskazówki przesuwają się po tarczy zegara, wiszącego nad gabinetem pielęgniarek. Czas upływa... Każde uderzenie jest jak kolejne ziarnko piasku, cząstka życia, zbliżająca nas... No właśnie, do czego?

Izabela czekała przed salą, aż pielęgniarka wymieni kroplówkę i poda lekarstwa. W telewizji właśnie leciały wiadomości, w których podawano informacje, dotyczące pandemii koronawirusa. Dziewczyna spoglądała na ekran wiszący przy gabinecie lekarskim. Pacjentki, które właśnie wracały ze szpitalnej stołówki, rozmawiały na temat epidemii oraz skutków, jakie może ona ze sobą nieść.

– Słyszałaś, co dzieje się we Włoszech? – zapytała jedna z nich.

– Moja kuzynka jest lekarzem w jednym z florenckich szpitali. Jest podobno coraz gorzej. Szlochała w słuchawkę, tak bardzo się boi o życie swoje i rodziny.

– Wyobrażasz sobie co będzie, jeżeli i u nas ta pandemia rozprzestrzeni się na taką skalę? Będzie brakować miejsc w szpitalach! Jestem pewna, że my jako pierwsze pożegnamy się z murami tego hotelu.

– Może to i lepiej. Tak bardzo stęskniłam się za moim wnuczkciem!

– Co ty opowiadasz?! Jeżeli będziemy w grupie podwyższonego ryzyka, kto pozwoli Ci się z nim zobaczyć?

Kobieta posmutniała. Nie przewidziała tego, że pandemia może doprowadzić do tego, że rodziny będą podzielone. Nikt nie pozwoli starszej kobiecie, w dodatku z nowotworem, zobaczyć kilkumiesięcznego dziecka. Izabela odprowadziła kobiety wzrokiem do sal. A co będzie z babcią? – pomyślała. Jeśli rzeczywiście

dojdzie do tego, o czym rozmawiały kobiety, o braku miejsc w szpitalach, babcia pewnie wróci do domu. Z jednej strony nastolatka ucieszyła się na myśl o tym, że będzie mogła czuć przy babci dłużej. Droga do szpitala zajmuje bardzo dużo czasu, do tego szkoła... Jednak po dłuższym namyśle, czy to będzie korzystne dla starszej kobiety? Jest w grupie podwyższonego ryzyka. A co jeśli któreś z nas, ze szkoły, sklepu, czy po prostu z podwórka przyniesie, nie daj Boże, tego wirusa? Co wtedy?

Pielęgniarka właśnie wyszła z sali i skierowała się w stronę gabinetu lekarskiego. W drzwiach minęła się z babci lekarzem prowadzącym, doktorem Walickim. Mężczyzna spojrzął na dziewczynę. Podeszedł do jednej z pielęgniarek, aby przekazać informacje dotyczące jednej z nowych pacjentek oddziału. Następnie skierował się w stronę Izabeli.

– Dziecko drogie, idź do domu. Siedzisz tutaj całe dni. Babcia ma naprawdę dobrą opiekę.

– Wiem, Panie doktorze, ale nie mogłabym wysiedzieć w domu. Cały czas myślę o babci. Dlaczego właśnie ona? Przecież jest tak dobrą, ciepłą kobietą. Jeszcze niedawno ona biegła między łózkami pacjentów, a teraz sama leży na jednym z nich. Zawsze walczyła o każdego do końca, a...

– A teraz my walczymy o nią. Izo, twoja babcia jest naprawdę silną kobietą i jednym z najlepszych lekarzy jakich spotkałem w mojej karierze zawodowej. Myślisz, że da się temu nowotworowi tak łatwo przechytryć? To nie byłoby do niej podobne. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz – uśmiechnął się do niej i przeszedł do sali pacjentów. Iza natomiast nacisnęła klamkę drzwi i weszła do środka.

– Dzień dobry, babciu – podeszła do łóżka seniorki i pochyliła się, aby cmoknąć kobietę w policzek. – Jak się czujesz?

– Cześć, kochanie. Czuję się coraz lepiej, chemia daje efekty, lekarze są zadowoleni.

– To najważniejsze.

– Izunia, bardzo się cieszę, że przychodzisz do mnie i poświęcasz czas, żeby tu ze mną siedzieć, ale dziecko, proszę Cię, idź do domu. Czuję się naprawdę coraz lepiej. Myślę, że to jest kwestia dni i puszcza mnie do domu. Masz swoje sprawy, szkołę i nie możesz każdej wolnej chwili spędzać między stołówką szpitalną a salą.

– Babciu, to nie jest żaden problem. Mama tak bardzo chce przyjechać do Ciebie, ale Kubuś jest chory, gorączkuje, a sama wiesz, że tata z płaczącym dzieckiem nie da rady wytrzymać dłużej niż kilka minut.

– Mój biedny wnusio. Mówiłam, że mama powinna mu dawać mój syrop z miodem i czosnkiem, bo się przeziębii. Biedne dziecko. Niech ta twoja mama tu tylko przyjedzie!

Kobiety rozmawiały jeszcze jakiś czas o sytuacjach z minionego dnia, a Iza opowiadała, co słychać w domu. Mieszkali razem i to zawsze babcia zarządzała domem, nie dając przejąć odpowiedzialności swojej córce. Po chwili do sali weszła Agnieszka – mama Izabeli. Kobieta wpadła w ramiona swojej matce. Tak długo się nie widziały. Łez szczęścia nie brakowało. Agnieszka zaczęła już tęsknić za wiecznymi uwagami, choć wiedziała, że mają one w sobie odrobinę pieśczołliwości. Kobiety rozmawiały do późnych godzin, aż nie zostały wyproszone przez pielęgniarki.

Agnieszka i Izabela skierowały się na parking w poszukiwaniu samochodu, co przez późną godzinę, nie było wcale łatwe. Jadąc po długim i męczącym dniu do domu, Agnieszka podjęła temat, który był od pewnego czasu na językach wszystkich. Rozmowa dotyczyła oczywiście pandemii. Kobiety wymieniły się swoimi spostrzeżeniami, jak również obawami dotyczącymi rozprzestrzeniania wirusa.

– Jak myślisz, co będzie? – zaczęła starsza z nich.

– Nie wiem, mamo. Na razie zastanawiam się, co będzie z babcią. Ty jutro wracasz do pracy, ze szpitala przyniesiesz najwięcej zarazków. Kuba bawi się z dziećmi z całej wioski, ja chodzę do przepełnionego po brzegi liceum. Tata też pracuje wśród ludzi. Myślę, że powrót babci do domu będzie o wiele większym zagrożeniem niż zostanie w szpitalu.

– Myślę, że doktor Walicki nie pozwoli, żeby babcia była w niebezpieczeństwie, kochanie.

– Mam nadzieję, że nie będziemy w takiej sytuacji, jak Włochy, że przejdziemy to łagodnie. Ogromnie na to liczę.

Kilka dni później wydano oświadczenie, dotyczące zarażeń w Polsce. Mamy pierwszy przypadek. Nie minęło dużo czasu, wzrost zachorowań był coraz większy. Kraj, gospodarka, oświata, wszystko zostało sparaliżowane. Wprowadzono lock down. Ulice – opustoszałe, w parkach, lasach – brak żywej duszy,

na starym mieście – pustki. Cały kraj etapowo przeszedł na tryb zdalny, na zdalne życie. Zdalne szkoły, zdalne msze święte i uroczystości religijne, zamknięte zakłady pracy, wprowadzone obostrzenia. Wszystko jakby wymarło. Świat stracił swoje najpiękniejsze barwy.

Izabela wstała wcześniej rano i przygotowała się do zajęć. Starła się jak najciszej minąć pokój brata, aby dotrzeć do gabinetu mamy i wydrukować materiały na pierwsze lekcje. Kątem oka zauważyła, że rodzicielka parzy kawę w kuchni i szykuje się do pracy. Zaprogramowała drukarkę, a następnie dołączyła do niej. Dziewczyna wiedziała, że będzie to trudny dzień dla matki. Po długim czasie, jaki spędziła w domu z chorym synem, wraca do pracy. Do pracy, która zdawała się być w jej sytuacji piekłem i najgorszą karą. Iza podeszła i objęła kobietę. Widać było, że ta ma za sobą nieprzespaną noc.

– Mamusiu, proszę Cię, uważaj na siebie.

– Obiecuję, będę ostrożna, kochanie – przytuliła córkę tak mocno, że ta nie mogła aż złapać tchu – Idź, szykuj się na zajęcia. Przygotowałam Ci śniadanie. Na chlebaku stoją leki dla Kuby. Powiedz tacie, żeby po śniadaniu podał mu cztery mililitry syropu i rozpuścił mu pół saszetki antybiotyku w soku albo kakao – puściła oko do córki. – Wiem, dzieci nie powinno się oszukiwać.

Agnieszka wjechała na parking szpitala. Chwilę siedziała w samochodzie i oparła się o kierownicę. Starła się ze wszystkich sił, aby nie wypuścić spod powieki najmniejszej łzy. Ze szpitala wyszedł doktor Walicki. Stał przy ścianie budynku i powoli się osunął. Dostrzegł koleżankę, po której również było widać, że ten dzień, choć jeszcze się dobrze nie zaczął, nie należy do najlepszych. Podeszedł do samochodu i otworzył drzwi.

– Widzę, że Pani Doktor nie może ukryć zachwytu, spowodowanego powrotem do pracy – powiedział po chwili milczenia. – Choć, damy radę. – Mężczyzna podał jej rękę. Agnieszka chwyciła torebkę, leżącą na siedzeniu pasażera i skierowali się w stronę szpitala.

W szpitalu panował chaos, spowodowany nowymi zasadami, jakie mają zostać wprowadzone. Planowano zamknąć część oddziałów w przypadku nagłego wzrostu zachorowań, część pacjentów, którzy nie wymagali hospitalizacji, odesłać do domów, a innych przenieść do różnych sal. Pielęgniarki i salowe rozwieszały kartki z informacjami o obostrzeniach panujących na terenie szpitala, roznosiły płyny do dezynfekcji oraz przyjmowały dodatkową dostawę maseczek,

kombinezonów, przyłbic, a także innych niezbędnych przyborów, mających pomóc w walce z epidemią.

Chyba nikt nie spodziewał się, że sytuacja panująca na świecie tak diametralnie zmieni dotychczasowe życie ludzi. Walka z czymś niedostrzegalnym. Walka z czasem. Walka z uświadamianiem. Ale przede wszystkim jest to walka ze strachem.

Na oddziale onkologii właśnie dobiegało końca spotkanie z ordynatorem.

– To będzie trudna bitwa. Myślę, że dla wielu z nas najtrudniejsza w karierze lekarskiej. Mamy pokonać coś, czego nie jesteśmy w stanie dostrzec. Mało tego, nie mamy konkretnych objawów tej choroby, nie mamy leku, prawdopodobnie za jakiś czas, patrząc na naszych sąsiadów, zabraknie nam sprzętu. Warunki będą bardzo trudne. Chciałbym, żeby sprawa była jasna. Pierwszy raz spotykamy się z czymś takim. Niech zadeklarują się osoby, które będą w stanie, niezależnie od tego, która to będzie ich godzina dyżuru, zostać w szpitalu i pomóc.

Na moment zapadła cisza. Nie było słyhać oddechu osoby stojącej obok, tykania zegara, ponieważ wszystkim szumiało w głowach. Nikt nie wiedział, co ma począć. Jednak po chwili pierwsze osoby zaczynały się zgłaszać, potwierdzając, że są gotowe pomóc. Agnieszka otarła łzę spływającą po policzku. Mam zostawić dzieci? Pracą w szpitalu narażam całą rodzinę. A jak nie pozwolą mi ich zobaczyć? Co ja mam robić? – nie mogła pogodzić się z tym, co się dzieje. Mimo wszystko zdecydowała się, że pomoże. Przecież przysięgała. Przysięgała, że nie zostawi pacjentów... Ale przysięgała też, że nie zostawi rodziny.

– Wszystkim bardzo dziękuję. Mam jeszcze jedną prośbę, abyście nie mieli bezpośredniego kontaktu z członkami waszych rodzin. Proszę, zorganizujcie sobie nocleg poza domem.

Tego Agnieszka obawiała się najbardziej. Pandemia zaczyna niszczyć wszystko. Odseparowuje, ogranicza, dzieli, zabija... Walczy z mocnymi, odpornymi, uśmierca słabych. Życie każdego zmieni się teraz diametralnie. Przez długi czas ludzie nie powrócą do normalnego trybu dnia codziennego, o ile w ogóle wrócą. Wszystko się zmieni. Nic nie będzie takie, jak dawniej. Czy uda się wygrać tę walkę? Walkę z czymś niedostrzegalnym, obcym? Są jakieś szanse? Czy społeczeństwo jest skazane na śmierć na polu bitwy? Jeśli tak, to po co te starania? Nie warto walczyć, skoro przegrana jest nieunikniona.

Mężczyzna stał oparty o automat do kawy i wbił wzrok w spadające do kubka krople napoju. Pomyślał, że tak samo szybko upływa życie. Jak to napisał kiedyś Naborowski: „[...] byt nasz ledwie może nazwan być czwartą częścią mgnienia[...]. Zanim się obejrzymy, całe życie upływa. Człowiek uważa, że zawsze ma czas. Czego nie zrobił dziś, zrobi jutro. Nie zaryzykuje. Nie podejmie wyzwania. Przekłada wszystko na potem, aż w końcu okazuje się, że lata, kiedy mieliśmy czas na spełnianie marzeń, podejmowanie wyzwań, radowanie się tym życiem, minął. Nie wróci. Nie przeżyjemy przecież życia jeszcze raz, aby tym drugim razem naprawić błędy, które popełniliśmy. Wcale nie zegar odmierza czas, ale strach. Strach, że się nie powiedzie. Strach, że ludzie nas osądzą. Strach przed poznaniem czegoś nowego. Teraz przeżywamy tak trudny dla każdego czas. Nie wiemy, jak się bronić, ale czy to oznacza, że mamy się poddać? Pozwolić, aby strach wziął górę i nas sparaliżował?

– Doktorze Walicki, pacjentka ”z czwórki” prosi o rozmowę – z rozmyślań wyrwała go pielęgniarka.

– Dobrze, już idę – westchnął głęboko, zabrał kubek z kawą i wrócił do swoich obowiązków.

Tymczasem Agnieszka skończyła zabieg pacjentki z wykrytym nowotworem piersi i postanowiła odwiedzić matkę. Po wypełnieniu wymaganych dokumentów, dotyczących operacji kobiety, skierowała się do sali rodzicielki. Drzwi były lekko uchylone. Kobieta leżała, mając głowę skierowaną w stronę okna. Na głowie miała przewiązaną purpurową chustę, aby zakryć łysinę spowodowaną podawaną chemią. Na nadgarstku miała zawinięty różaniec, a palce przesuwała właśnie na kolejną dziesiątkę. Kobieta stała chwilę w drzwiach, obserwując matkę. Ta poprawiła pozycję głowy i Agnieszka dostrzegła zmęczenie na jej twarzy, jednak wiara w to, że wyzdrowieje była jeszcze bardziej widoczna. Boże, nie zabieraj mi jej! – wołała całym swoim wnętrzem. Zrezygnowała z odwiedzin i wróciła do swoich obowiązków.

Minęło wiele tygodni, przypadków zakażeń było coraz więcej. Zamknięto niektóre oddziały szpitalne i stały się one strefą dla osób zarażonych koronawirusem. Część lekarzy została oddelegowana do pracy przy pacjentach zarażonych. Wśród nich był doktor Walicki. Nowym lekarzem prowadzącym Hanny była młodziutka lekarka, bardzo zaangażowana w swoją pracę.

– Witam, Pani Hanno. Jak samopoczucie? – zapytała, uśmiechając się serdecznie.

– Dużo lepiej, Pani doktor – odpowiedziała seniorka. – Właśnie skończyłam rozmawiać z Izunią. Zawsze cieplej mi się na sercu robi po naszej rozmowie.

– Taka wnuczka to skarb – znów się uśmiechnęła. – Mam Pani wyniki badań i... Jest ogromna poprawa. Pani Haniu, dawno nie było tak dobrze. Myślę, że to tylko kwestia czasu i będzie Pani mogła wrócić do domu.

Hanna uśmiechnęła się do siebie. A jednak – pomyślała. Ile zdziałać potrafi pozytywne nastawienie i wiara w lepsze jutro. Ile zdziałać może walka wewnętrzna ze swoimi słabościami i utrapieniami. Trzeba tylko zapanować nad strachem, a nie pozwolić, aby to on przejął nad nami kontrolę. Trzeba walczyć i nie dać dopuścić do siebie myśli, że to nie od nas zależy. Nie. To nie zegar odmierza nam czas. To nie dni decydują, który z nich będzie ostatni. To my. To my musimy pokonać wszelkie słabości i walczyć. Walczyć choćby nie było już sił, choćby bolało i brakowało nadziei. Nie możemy poddać się bez walki. Lepiej przegrać na polu bitwy, niż pozwolić wrogowi osiągnąć swój cel naszym kosztem.

Izabela skończyła zajęcia i zabrała się do przygotowania obiadu. Kuba bawił się w swoim pokoju, nie zwracając uwagi na przechodzącą obok pokoju siostrę. Dziewczyna przygotowała posiłek i zawołała brata. Oboje jedli w milczeniu. Iza tylko co jakiś czas zerknęła w talerz brata i sprawdzała, ile ubyło z porcji chłopczyka.

– Iza? – wymamrotał.

– Słucham?

– Kiedy wróci mama? – spojrzał na siostrę wzrokiem pełnym tęsknoty. Dziewczyna często słyszała to pytanie, ale zawsze je zbywała.

– Mówiła Ci, mama teraz dużo pracuje. Jest wirus i musi zostawać dłużej w szpitalu.

– Ale ja za nią bardzo tęsknię. Chcę, żeby już do nas wróciła – chłopiec ostatnie słowa wypowiedział ze spływającą łzą po policzku. Iza wstała z krzesła i podeszła do brata.

– Kochanie, ja też bardzo tęsknię za mamą, ale teraz jest bardzo potrzebna pacjentom.

– Ale ja jej też potrzebuję – dziewczyna przykucnęła i przytuliła brata. Na jej twarzy pojawiły się łzy. Po chwili milczenia odsunęła brata, złapała go za rączki i spojrzała mu w zapłakane oczka.

– Kubuś, mamy najlepszą mamę na świecie. Codziennie ratuje bardzo dużo ludzi. Jest jak superbohaterzy z twoich bajek. Musimy być dumni z niej i trzymać za nią mocno kciuki, dobrze?

Chłopiec wtulił się w siostrę, a następnie pobiegł do swojego pokoju. Dziewczyna usiadła na sofie w salonie. Jej wzrok utkwiał w martwym punkcie. Tak bardzo chciała, żeby mama była już z nimi. Na dziewczynie spoczęły obowiązki szkolne, domowe, po części rodzicielskie. Tata wcześniej rano wyjeżdżał do pracy, a wracał, kiedy Kuba szedł już spać. Ten czas jest cenną lekcją. – zauważyła. Dużo mnie nauczył, wymaga ode mnie pełnej organizacji, odpowiedzialności. Mocno dojrzałam, stałam się bardziej świadoma. Chyba przede wszystkim zaczęłam doceniać to, co mam. Zwolniłam. Nie biegnę, nie przywiązuję największej wagi do rzeczy ulotnych. Jestem tu i teraz. Dla siebie, dla rodziny, przyjaciół. Nic mnie nie goni. Przestałam się w końcu bać, że nie zdążę, nie dam rady. Teraz przyjmuję niepowodzenia jako doświadczenia, nie upadki. A mama? Z niej jestem dumna najbardziej na świecie. Nie znam drugiej tak walecznej osoby. Jest moją bohaterką, moim wzorem. Walczy o każde życie, nie poddaje się. Uśmiech z jej twarzy nigdy nie znika i choć ten czas jest tak trudny, ona daje radę.

Swoje refleksje zakończyła telefonem do matki.

– Cześć, mammo.

– Cześć kochanie. Co u was słychać? Wszystko w porządku?

– Tak, u nas wszystko dobrze. A jak Ty się czujesz?

– Dobrze. Sytuacja w szpitalu jest pod kontrolą, wszystko jest w najlepszym porządku. Skarbie, muszę kończyć wołają mnie. Kocham Was.

– My Ciebie też, mamusiu. Pamiętaj, jesteś najlepszym lekarzem na świecie. Naszą nieustraszoną bohaterką. Do usłyszenia, mammo!

Kobieta rozłączyła się. Włożyła telefon w kieszeń fartucha i wyszła z sali zabiegowej. Co ja robię? Przed ludźmi zgrywam nieustraszoną, w oczach dzieci jestem niepokonana. Wszyscy myślą, że dałam sobie radę – podsumowała kilka ostatnich dni. Wszyscy w nią wierzyli, ale czy ona w siebie też? – Nie! Nie dałam

sobie rady, nie potrafię się zmobilizować, nie jestem odważna. Rzeczywistość jest zupełnie inna. Nie mam już siły. Jestem na skraju wytrzymałości. Przypadków jest coraz więcej, jest coraz większe zagrożenie. Warunki jakie panują, są nie do zniesienia. Cały czas walczę. Nie tylko o życie ludzi, ale też o to, przede wszystkim o to, aby wytrzymać psychicznie. Pandemia jest groźniejsza niż się wszystkim wydaje. To nie jest wymysł. Zagrożenie jest ogromne, niewyobrażalne. Ludzie zaczynają się przyzwyczajać do sytuacji i nie zważają na dobro drugiego człowieka. Ludzie ludziom gotują ten los. Nieprzestrzeganie przepisów, łamanie obostrzeń, egoizm. Może tej pandemii by już nie było, gdybyśmy wszyscy razem zawalczyli? Może w końcu zobaczyłabym dzieci? Już nie chcę walczyć, ale wiem, że muszę. Wiem, że jestem potrzebna. Wiem, że mnie potrzebują, ale jak długo wytrzymam...

Pobiegła holem na blok operacyjny...

Zuzanna Dębiec

SPIS TREŚCI

Krzysztof Hildebrandt - <i>Drodzy Czytelnicy</i>	3
WYNIKI KONKURSU	5
Daniel Odija - <i>Okiem jurora</i>	6
Krzysztof Szkułatowski - <i>Biegnij, biegnij...</i>	11
Daria Kaszubowska - <i>O Adelajdzie, która wygrała z czasem, a przegrała ze strachem</i>	25
Tomasz Magulski - <i>Karma</i>	37
Małgorzata Borzeszkowska - <i>De/ka/meron, Liść, strachy</i>	46
Hanna Makurat-Suzik - <i>Na ulicy śmiertelników, Historia strachu, Historia pewnej ludzkiej duszy</i>	51
Aleksander Lewandowski - <i>Strach, Gdyby jutra nie było, Pandora</i>	58
Oliwia Plichta - <i>Upadek Lucyfera, Moja jesień, Krwawy Baron</i>	61
Paulina Greń - <i>Mój Paryż</i>	67
Oliwia Lejman - <i>Balladyna</i>	73
Julia Bieniek - <i>Strach. Opowieść Orfeusza</i>	80
Zuzanna Dębiec - <i>Wybór</i>	91
SPIS TREŚCI	100



Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie

ISBN 978-83-940674-4-1